Nr. 44 (1140). Warszawa, 19 Października (1 Listopada) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Do Czytelników.

*Od numeru następnego zamiast mnie podpisywać będzie **Prawdę**, jako odpowiedzialny redaktor i wydawca, p. Aleksander Dembowski. Jest to w obecnej chwili zmiana tylko formalna. Już bowiem przed trzema laty, zmuszony niezdrowiem i pragnieniem zaoszczędzenia sobie czasu dla zajęć literackich, odstąpiłem **Prawdę** obecnej redakcyi, która ją samodzielnie prowadziła po dawnym torze. Nie żegnam się przeto z czytelnikami, bo się z nimi nie rozstaję, bo nie zrywam ścisłego związku z pismem, które stworzyłem i przez 19 lat redagowałem, a które rozwija się pod sterem grona ludzi młodych, energicznych, czystych, utalentowanych, godnych tego niezłomnego zaufania, jakiem liczny zastęp czytelników darzy ciągle **Prawdę** od 22 lat.*

A. Świętochowski.

*W paru słowach przynajmniej pragniemy tu złożyć gorące podziękowanie Twórcy **Prawdy** i jej długoletniemu Sternikowi za dobroć, życzliwość i opiekę, którą nas od początku otaczał, za obietnicę współdziałania, którą nam daje na przyszłość.*

Pozbywszy się przed trzema laty ciężaru drobiazgowych i kłopotliwych zajęć, związanych u nas ze stanowiskiem redaktora i wydawcy organu myśli niezależnej, część znaczną tego brzemienia dobrowolnie podźwignął z nami w dalszym ciągu, powodowany, obok miłości ogółu, któremu służył przez całe życie, szlachetnymi względami serdecznej życzliwości dla pisma i jego nowych kierowników. Nie skąpił On nam nigdy światłych rad i wytrawnych wskazówek, nie żałował dla nas czasu i pracy. W chwilach trudnych umiał dopomódz, dodać otuchy, pokrzepić i zachęcić do wytrwania. Był zawsze dobrym geniuszem naszym, duchem kierowniczym pisma i przyrzekł nim zostać na przyszłość.

*Duch Aleksandra Świętochowskiego nie wyjdzie z **Prawdy** nigdy. Drogą wytkniętą przez Niego kroczyć będziemy w dalszym ciągu. Gwiazdy przewodnie Jego umiłowań i dążeń przyświecać będą naszej pracy, skierowanej ku dobru powszechnemu, tryumfowi prawdy, wiedzy i najwznioślejszych ideałów ludzkości.*

Redakcya.

POLITYKA.

EPILOG PODRÓŻY.

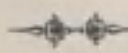
Kiedy telegraf przyniósł pierwszą wiadomość o podróży generałów boerskich do Europy, mimowoli obudziło się pytanie: po co i na co? Chyba dla wytłomaczenia Krügerowi konieczności w umowę z 31 maja r. b. ujętej i oczyszczenia się przed nim i z samego zaniechania walki i z formy, w jaką czyn ten przyodziano, podpisując umowę w Vereenignig. Plotka dziennikarska, wylęgła w Londynie, dała jeszcze przyjazdowi cel drugi: generałowie mieli wyegzekwować na Krügerze owe skrzynie ze złotem i dyamentami, które twórca państwa transwalskiego po dniach już niepowodzeń uwiózł z sobą do Europy, a wśród których znajdować się miał i skarb narodowy Boerów. Podawano odrazu jeden jeszcze cel: wzbudzenie w Europie skutecznego miłosierdzia dla wdów, sierot i starców, dla zrujnowanych przez wojnę i przez Anglików nędzarzy. Takie posłannictwo nie było plotką, ale w takiem posłannictwie właśnie tkwiło coś kolącego samym zamysłem i przewidywaną jego bezskutecznością. Przyjaciele Boerów lękać się musieli, aby to odwołanie się do ludzkości nie stało się wyciągnięciem ręki po jałmużnę żebraczą.

Po przybyciu do Europy otwarło się przed generałami nowe pole działania: mieli się przedstawić królowi, narodowi i rządowi angielskiemu i na tym ostatnim wymódz jak najlepsze i najrychlejsze wykonanie zobowiązań zaciągniętych w akcie

umowy poddańczej. Lecz na tem właśnie nowem polu rosły gorsze jeszcze niż na pierwotnych piołuny. Jeżeli szkoda było przedstawicieli męztwa i mocy bojowej na ów objazd po srebrniki jałmużnicze, więcej jeszcze żałować ich wypadało, gdy mieli paradować ze swem nieszczęściem w Anglii i kołatać do wrót sprawiedliwości, która właśnie tem nieszczęściem ich obdarowała. Obecność na koronacyi była przypędzeniem przez jarzmo; obecność na pochodzie koronacyjnym była już dobrowolnym lojalizmem, do którego nie zmuszało nic. A jednej i drugiej uniknąć było łatwo — nie przyjeżdżając wcale do Europy. Na rządzie angielskim generałowie nie wymogli nawet złamanej śpilki; w Europie nie wzbudzili miłosierdzia godnego nędzy pożerającej tysiące; nie powiedzieli Europie nic takiego, czegoby o nich bez nich już nie wiedziała. Skrępowani przez nowe swoje poddaństwo nie mogli nawet ran swoich pokazać, ranami swojemi przed światem się uskarżyć.

Te 75,000 fr. i te 100,000 marek, któremi naród francuski i naród niemiecki objawiły potęgę swego współczucia, muszą sprawiać wrażenie groszowej jałmużny. Tyle mógł wydobyć ze skrzyń istotnie swoich własnych, a dobrze naładowanych, Krüger, nie wystawiając bohaterów walki narodowej na rolę żebraków, przeplatających prośby podchlebstwem, które prawiło o obficie krążącej w żyłach Boerów krwi— w Paryżu francuskiej, w Berlinie niemieckiej — aby tym argumentem zdobyć owe marne szelągi berlińsko-paryskie. Gdy się podaje na 60 milionów f. st. straty w dobrach społecznych, ekonomicznych, tem samem, kwituje się już z góry z tych brzęczących dowodów miłosierdzia, jakie dać mogła ta ludzkość, bardziej ciekawa wypadków, niż wzruszająca się nieszczęściem, której generałowie szukali w Paryżu i Berlinie a poszukają może jeszcze w Wiedniu lub w Rzymie. Podróżą do Europy De Wett, Delarey i Botha niczego nie przysporzyli swoim, a skrzywdzili samych siebie, skrzywdzili myśl, symbol, urok, który mieli w sobie. Raz jeszcze człowiek przekonał człowieka, że jeśli trudno jest żyć dobrze, trudniej jest jeszcze dobrze zginąć. Epilog walki świat zadziwiającej rozczarowywa z podziwu. Cała ta podróż ma w sobie coś zasmucającego serce — proste, naiwne serce człowiecze.

Wymowniejszym jeszcze, symbolicznym epilogiem jest przyjęcie, jakiego inna grupa podróżników po Europie doznała w Birminghamie. Lud tamtejszy za odczyty, którymi uraczyć go chcieli również ludzie od oręża: Cruitzinger, Fouché i Joubert, podziękował im — kamieniami. Tylko policya angielska ocaliła ich od trwałych skutków angielskiej wdzięczności. A takie podziękowanie jest symbolem przyszłości. Kamieniami ciskać będzie w Boerów Anglia — kamieniami praw, rozporządzeń, instytucyj, porządków wszelakich. Komu wtedy, gdy się odrzucało od siebie oręż, wzbroniono nawet własnej szkoły, ten wiedzieć powinien, co go czeka, i z powagą przygotować się na powitanie tej przyszłości, którą mu gotują. Może Chamberlain, gdy stanie na miejscu, istotnie da 5 mil. f. st. zamiast trzech przyrzeczonych w Vereeniging, ale i ta nadpłata i wszystko, co od niego Boerów spotkać może w dalszej przyszłości — będzie tylko kamieniem na nich ciskanym i nie przysporzy im życia, ani siły. Jeżeli chcą żyć, jeżeli się wzbili nad kategoryę *farmerów*, jeżeli mają w sobie jakąkolwiek duszę wspólną a świadomą siebie, to wkrótce spostrzegą, że walka nie ustała, ustać nie powinna, że ją nadal w innej tylko formie, ale z tem samem, może większem i trudniejszem męztwem prowadzić potrzeba.



TYDZIEN POLITYCZNY.

Król angielski zakończył d. 25 z. m. uroczystości koronacyjne pochodem przez miasto i biesiadą w Guildhall. Było w tym finale dużo monarchicznej serdeczności z obu stron, a cenniejszy jest ten objaw dla króla ze strony ludu, niż dla ludu ze strony króla. Na uroczystości znajdowali się i „generałowie boerscy.“ Chamberlain jedzie do ich ojczyzny, przynajmniej do Przylądka, aby na miejscu urządzić porządek. Podobno przechyla się minister ku sprawiedliwości, zerwał z zagorzalcami, ma Milnerowi dać dymisyę, a Afrykandrów utrzymać na wierzchu. Boerowie mają dostać 5 mil. f. st. na odbudowanie farm i zagospodarowanie się na nowo. Stan ich teraz okropny. Sami włoką się do obozów koncentracyjnych, aby nie mrzeć z głodu.

Somale zadali klęskę oddziałowi Anglików pod Swayne'm.

Izba gmin d. 17 b. m. zaczęła swą sesyę od wypędzenia O'Donnela na tydzień ze świątyni prawa i rozumu narodowego. W Irlandyi sądy skazują co kilka dni na więzienie. Okazało się, że Anglia w walce z Irlandczykami użyła już drogi administracyjnej. Chciano to napiętnować w parlamencie; skończyło się na lekkim plasterku. Podlenie coraz większe jest nieuchronnem przeznaczeniem Anglii jako pogromicielki Boerów.

Bogata Anglia nie płaci żołdu swym żołnierzom. Rezerwiści, którzy służyli przeciwko Boerom, odbyli w Hyde-Parku meeting, żądając zaległej zapłaty. — Rząd angielski wywołał w kraju dość żywe niezadowolenie swoim projektem monopolu państwowego szkół elementarnych i wyznaniowych.

W Austryi, zwłaszcza na Węgrzech, projekt podwyższenia stanu liczebnego armii o 20.000 z rezerwy zaciągu corocznego wywołuje żywą niechęć. — Cesarz austryacki zażądał podniesienia listy cywilnej o 4 miliony koron. Nie można żądania tego nazwać politycznie rozsądnem: najpierw budżet ma deficyt 20-milionowy, a potem państwo w rozterce, w zawierusze, w niepewności o jutro. W takiem położeniu oszczędzać, kurczyć się, poprzestawać na małem — to jedyny sposób, godzący przezorność z potrzebami dworu, rodziny cesarskiej. Podobno też źródło żądania jest czysto rodzinne: arcyksiężna Walerya chce zapewnić byt licznego swego potomstwa. Żądanie jest u wszystkich narodowości niepopularne. Węgrów Szell

2)

FELIKS BRODOWSKI.

LIOTE.

Nowela.

Z Anglii.

Dziękuję ci za list twój, Hwansano, odczytałem go uważnie wraz ze wstępem. Rozumiem, że to, co piszesz, nie zawsze jest istotą twoich przekonań, jeno satyrą na świat i kubłem zimnej wody na moją rozgorączkowaną głowę.

Tak — czeka nas dużo przykrości i — prawdopodobnie — rozłączenie tu na ziemi. Czcigodny Tayotomi zechce drogo sprzedać Liote; na szali, którą on waży, szczęście córki zawsze lżejszem się okaże od złota. Zostawszy zaś żoną innego, Liote nie będzie niczyją kochanką.

List twój czytałem na brzegu rzeki.

Niebawem zapadł wieczór, księżyc się ukazał, na falach legł długi snop srebrny, pleciony z drżących płatków. Rzeka szumiała, przelewając się po przerwanej tamie kamiennej.

Ogarnął mnie smutek cichy, niebolesny; poprostu, jakby świat odsuwał się odemnie bardzo daleko, póki nie zostałem zupełnie sam z odrobiną wspomnień.

Przymknąwszy powieki ujrzałem siebie u stóp małego wzgórza, przykrytego ciemnozielonym kobiercem zroszonej trawy. Tu w dole cień jeszcze panował chłodny, gdy w górze splątaną gęstwinę krzaków poczynało wyzłacać wschodzące słońce.

Liote niecierpliwie targała mnie za rękę.

— Pokażesz mi gniazdko, mój Mito, obiecałeś pokazać.

— Dobrze, Liote—odparłem—niech tylko wpierw słońce osuszy trawę, żebyś nie zamoczyła po zimnej rosie nóżek.

Ale gdzie tam; później ptaszki odlecą, a ona chce widzieć samiczkę na jajkach. Więc pnie się na wzgórek, jak gemza, ciągnąc i mnie za sobą.

W gąszczach trochę sennych jeszcze, mokrych, niby świeżo obmytych, słychać było szepty i kwilenia ptasząt. Odgarnąłem pęk gałęzi. Z wnętrza gęstwiny powiało na nas wonną świeżością zieleni i zapachem ziemi wilgotnej.

Głowa przy głowie wypatrywaliśmy gniazdka pod gałęźmi splątanemi w stropy i altany ze zwieszającemi się festonami liści, ale trudno było coś zobaczyć w półmroku zielonawym, w który wpadały raz po raz złote strzały słoneczne, rozbłyskały w kroplach rosy i gasły, oślepiwszy oczy.

Niespodziane policzki nasze otarły się o siebie. Wtedy pocałowałem ją. I stał się odrazu wielki popłoch, z rąk mi się wymknęły gałęzie, a to przestraszyło ptaszęta, które podniosły krzyk rozpaczny. Liote drgnęła spłoszona, uczyniła ruch do ucieczki, gdy wtem — trzebaż biedy — po ślizkiej od rosy trawie nóżka jej się obsunęła. Upadła. Podnosząc ją musiałem ująć w pół jej kibić; zdawało mi się wtedy, że ktoś dmuchnął mi w twarz gorącym oddechem i przesłonił oczy mgłą różową.

Za chwilę byliśmy na dole, oboje drżący; obojgu, zda mi się, serca biły jak młotem— i nic nie mówiąc, rozbiegliśmy się w różne strony...

...Dziecinne, śmieszne wspomnienia — prawda Hwansano, a co powiesz jeszcze na to, że ja wróciłem w to samo miejsce, gdzie zostały ślady jej stópek, tuliłem głowę, usta do trawy, którą ona deptała. Jakieś dziwne uczucie rozpierało mi pierś i znalazło ujście w łkaniu gwałtownem.

— Oh! gdyby Liote mnie pokochała, gdyby pokochała — szeptałem łkając.

W jakiś czas potem zachorowałem i leżałem długo bez pamięci. Pewnego dnia, gdy po raz pierwszy przytomnie otworzyłem oczy, miałem wrażenie, iż pokój przepełniony był jakąś miłą matową białością, sączącą się z za okiennych zasłon. Nademną stała Liote i patrzyła zasmuconym wzrokiem. Nie miałem siły nic powiedzieć.

ujmuje obietnicą urządzenia całkiem odrębnego dworu.

Ciężka strata na Śląsku austryackim: d. 22 z. m. zmarł w Cieszynie ks. Świeży, bojownik narodowy, jedno z ognisk energii i myśli samozachowawczej tam, gdzie ich jest tak mało. Zasługi zmarłego w walce z Niemcami są niezapomniane; mniej gorącości okazywał wobec Czechów.

D. 21 z. m. Romańczuk zażądał uniwersytetu rusińskiego we Lwowie. Wnioskowi Izba odmówiła naglości.

Rząd francuski postanowił pociągnąć przed radę stanu 74 biskupów, którzy założyli protest przeciwko wykonywaniu prawa o stowarzyszeniach.— Kłopot z bezrobociem w kopalniach węgla od trzech tygodni zwala się na rząd. Usiłowanie pośrednictwa, próba sądu polubownego, do któregoby sama Izba wybrała sędziów, spełzły. Robotnicy portowi wielkich przystani wzburzyli się gwałtownie. W Dunkierce barykady, podpalanie składów — walka krwawa, stan oblężenia; w tym tygodniu cisza.

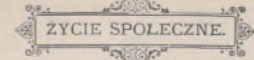
D. 21 z. m. sejm cesarstwa niemieckiego uchwalił projekt ceł zbożowych, ułożony przez komisyę, zatem odrzucił projekt rządu — 187 przeciw 152 głosom, Koło polskie głosowało za podwyższeniem. Poseł Chrzanowski zastrzegł był samodzielność w sprawach niepolitycznych; ale poseł Dziembowski w imieniu Koła właśnie cła nazwał politycznemi. Norma komisyi jest 5,50 marek; wniosek ultra-agraryuszów (Wengenheima) żądał 7,50 marek. Odrzucono go 289 głosami przeciwko 44.

Związek ewangelicki w Hagen zażądał bezwzględnego zakazu procesyj katolickich po za kościołami, godząc głównie w katolicyzm polski na t. zw. „kresach wschodnich"; politykę rządu na tych kresach pp. związkowi gorąco pochwalili. Niemcy zakładają towarzystwo samoobrony od Polaków w Westfalii.

W Serbii nowe ministeryum Welimirowicza. Wojskowością zawiaduje Pawłowicz, spr. wewnętrznemi Teodorowicz, zagranicznemi Łozanicz. Król przyjmował deputacyę Tow. słowiańskiego z Moskwy.

Chiny wysyłają dzieci swe do Rosyi, aby je przygotować na nauczycieli języka rosyjskiego i kierowników szkół rosyjskich w prowincyach pogranicznych.

Prawdopodobnie Anglicy zawarli układ z Portugalią o Delagoa. Oczywiście, że się go wypierają.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Głosowanie za cłami zbożowemi i sprawa solidarności Koła polskiego.

W poprzednim liście rozpisałem się szeroko o tem znaczeniu, jakie stopniowo poczynają uzyskiwać sprawy, bezpośrednio obchodzące szersze masy ludności pracującej. Mówiłem, że społeczeństwo polskie w Poznańskiem i na Górnym Śląsku, chcąc rozwijać normalnie walkę z germanizacyą, musi bezwarunkowo uwzględniać owe sprawy i odpowiednio zmieniać swą dotychczasową politykę. Nie należy jednak przypuszczać, jakoby świadomość tej konieczności zdołała już przeniknąć do umysłów *kierowników* dzisiejszej polityki polskiej w Poznańskiem. Olbrzymia ich większość po dawnemu jeszcze jest przekonana, że szlachta jest i pozostanie na zawsze czołem narodu, jego wrodzonym kierownikiem i reprezentantem. Olbrzymia ich większość po dawnemu sądzi, że lud musi płacić tej szlachcie za jej kierownictwo i reprezentacyę zupełnem wyrzeczeniem się swych odrębnych interesów społeczno-ekonomicznych i podporządkować je w imię haseł „narodowych" egoistycznym interesom klasowym. Takiem jest zdanie Kół polskich, tak w parlamencie, jak i w sejmie pruskim.

Wychodząc z tego stanowiska, Koło polskie postanowiło głosować w parlamencie za cłami zbożowemi, tj. popełnić czyn, przeciwko któremu musi powstać oburzenie najżywsze nietylko wśród robotników, proletaryatu rolnego i drobnych włościan, ale i wśród średnio zamożnych chłopów oraz drobnomieszczaństwa. Pod względem politycznym takie głosowanie jest równoznaczne z zupełnem zdyskredytowaniem Koła polskiego na Kaszubach i wogóle w Prusach Zachodnich, nie mówiąc już o Górnym Śląsku, gdzie przez *Górnoślązaka* i jego zwolenników propagowana jest myśl wstąpienia pierwszych polskich posłów górnośląskich do Koła.

Zrozumiała to nawet pewna część członków Koła berlińskiego. To też kiedy na posiedzeniu Koła przyszła pod obrady sprawa głosowania w sprawie ceł, uchwała reakcyjna zapadła większością 6 głosów przeciwko 5. Za oświadczyli się: ks. Radziwiłł, ks. Czartoryski, fabrykant Cegielski, ks. Jażdżewski, dr. Komierowski i dr. Dziembowski; przeciwko — pp. Chrzanowski, Głębocki, Czarliński, ks. Neubauer i Janta Połczyński. Trzech posłów nie było obecnych. Pomimo tak znacznej mniejszości Koło w całości *musi* głosować reakcyjnie, gdyż obowiązuje je do tego regulaminowa solidarność.

Otóż przeciwko tej solidarności wystąpił niedawno poseł Chrzanowski, bodaj czy nie jedyny członek Koła, jako tako oryentujący się w obecnem położeniu kraju i jego potrzebach i nie stojący na wyłącznem stanowisku interesów klasowych junkrów polskich. P. Chrzanowski w swym „liście otwartym," zamieszczonym w *Kuryerze Poznańskim*, organie mniej reakcyjnie usposobionej szlachty, oświadcza, że solidarność Koła, niezbędna, zdaniem jego, w sprawach narodowych, nie powinna obowiązywać posłów polskich w sprawach ekonomicznych. Dowodzi on, że Koło, jako całość, nie może głosować ani za, ani przeciwko cłom, ci zaś, których wybiera ludność miast lub drobnochłopska Prus Zachodnich, muszą głosować przeciwko cłom. P. Chrzanowski, jakkolwiek uważa się za demokratę, to jednak w sprawie tak ważnej, jak celna, nie umie czy nie chce się wznieść na stanowisko zasadnicze i występuje z pobudek czysto oportunistycznych. Faktycznie przecież posłowie polscy, reprezentujący okręgi czysto rolnicze, są wybierani przy istniejącem w Niemczech prawie wyborczem nie przez agraryuszów polskich, nie przez właścicieli wielkich posiadłości ziemskich i bogatych chłopów wyłącznie, ale przez cały plebs wiejski i miejski, któremu najbardziej da się we znaki uchwalenie reakcyjnej taryfy celnej. Gdyby więc Koło chciało opuścić stanowisko wyłączności junkierskiej i zapomnieć o swych osobistych interesach wielkich posiadaczy ziemskich, w takim razie musiałoby głosować, jak jeden mąż, przeciwko wszelkiemu podwyższeniu ceł. Ale p. Chrzanowski, który, pomimo całego swego demokratyzmu, „wlazł między wrony" polsko-junkierskie, nie może już nie uwzględniać

Po paru dniach ojciec wyniósł mnie na powietrze i usadowił w słońcu, na miękkiej macie. Przyszła Liote, -- której rodzice pozwalali odwiedzać chorego towarzysza dawnych zabaw dziecinnych, — i usiadła obok mnie na murawie.

Było to w ogródku naszym, wcale nie ładnym i ubogim w kwiaty, nie wiem zatem, skąd brał się cudowny zapach w powietrzu; wyraźnie czułem napływające, może z olbrzymio dalekich przestrzeni, fale powietrza czy eteru niesłychanie wonne. Nad nami wiatr zlekka trącał liśćmi, a ich cienie pląsające wraz ze złotemi słonecznemi krążkami przesuwały się po włosach Liote, po jej twarzyczce i rękach.

Mnie się zdawało, że biła od niej jakaś różowość.

Rozmawialiśmy mało, półsłowami, ale mniemam, że i ją, podobnie jak mnie, napełniała w owej chwili wielka i słodka radość. W moich żyłach tętniła ona mocno, niby prąd wracającego zdrowia, niby upajające rwanie się do szczęścia. Czułem, iż bez przyczyny uśmiech ciśnie mi się na usta.

Głaskałem rękę Liote; podnosiłem tę rączkę drobną, miękką do słońca, mówiąc:

— Liote twoja ręka jest teraz przezroczysta, jakby z różowego szkła.

Potem zacząłem wzdychać z udaną bolesnością, naśladując płacz dziecka, a gdy ona nachyliła się nademną i paluszkami dotknęła moich powiek dla przekonania się, czy istotnie łzy mi lecą, szepnąłem:

— Najmilsza, jeżeli chcesz, żebym wyzdrowiał i żył, pocałuj mnie.

— Dobrze—odpowiedziała trochę drżącym głosikiem — zrobię to dlatego, żebyś już więcej nie chorował.

To był jej pierwszy pocałunek.

...Drugi otrzymałem — na odjezdnem.

Tayotomi, kiedy mu oznajmiłem, że z woli mego ojca wyjeżdżam do krajów zamorskich dla dobrego obeznania się z handlem, nie ukrywał wcale zadowolenia.

— Ślicznie czynisz, Mito, — rzekł. Nie śpiesz się z powrotem, wracaj, gdy będziesz miał już dobrze nabitą kieszeń. Do tego czasu podrośnie moja najmłodsza Take, którą przez wielki szacunek, jaki mam dla twego ojca Jakonina, chętnie oddam ci za żonę.

Wyszedłem odeń smutny. Liote była gdzieś ukryta. Gdym mijał ich ogród, ujrzałem ją wśród drzew, biegnącą szybko, za chwilę zawisła mi na szyi, nie mówiąc nic. Usta nasze przylgnęły do siebie, nie wiem na jak długo. I rozstaliśmy się, nie powiedziawszy sobie słowami nic, a pocałunkiem wszystko.

...Żegnaj mi, Hwansano.

Hakodate.

Na wstępie zapewniam cię uroczyście, chłopcze kochany, że Liote żyje i jest zdrowa. Czynię to, abyś mógł zachować zupełny spokój, czytając poniższy opis wypadków, które chwilowo obrały sobie drogę nieco przykrą, a nawet bliską miejsca spoczynku wiecznego rzeczy i uczuć ludzkich, ale już teraz zmierzają znów do stron jaśniejszych, prowadzone może blaskiem twojej szczęśliwej gwiazdy.

Zatem słuchaj, jak sprawy się mają.

Do domu Tayotomi starałem się uczęszczać pod wszelkimi godziwymi pozorami. Kiedy mi ich zabrakło, poświęciłem noc całą polowaniu na szczypawki, los mi poszczęścił, jedną olbrzymią uchwyciłem w piwnicy, drugą — a może drugiego, bo nie jestem pewien, czy pojmany okaz nie jest złośliwym niedźwiadkiem spotkałem nie zgadniesz gdzie... na krawędzi mego łóżka. Nie chcąc zaś z istotą, której zamiary nie były mi znane, w osobiste wchodzić stosunki, zamknąłem ją wraz z pierwszą w szklanym słoju — i ofiarowałem Tayotomi, — skłamawszy bez zająknienia, że piękne te stworzenia pochodzą z wyspy Tarakar.

Dzięki tedy niewinnym wybiegom, widując Liote prawie codziennie, uważałem, iż twoja najdroższa zaczyna dyablo tracić na humorze, nie zyskując nic na ciele, a nawet dość widocznie chudnąc i bledsząc stając z dnia na dzień. Inaczej działo się z jej otoczeniem, tj. z ojcem i rodzeństwem,

ich interesów kastowych, pragnie tylko zrzucić z siebie odpowiedzialność z powodu niezadowolenia mas ludowych.

W tym celu podnosi aktualne dzisiaj pytanie, co mają czynić pierwsi posłowie polscy z Górnego Śląska, gdyby zostali wybrani wbrew woli centrum. Dopóki będzie istniała dotychczasowa solidarność Koła we wszystkich sprawach, nie wyłączając i ekonomicznych, nie może być mowy, aby się stali jego członkami. To, co uchodzi jeszcze bezkarnie posłom wielkopolskim, wybieranym przez nieuświadomione masy włościaństwa poznańskiego, nie uszłoby w żadnym razie posłom górnośląskim, opierającym się na oświeconym społecznie żywiole robotniczym. Musieliby więc ci posłowie albo pozostać „dzikimi,“ albo wejść do centrum. W pierwszym wypadku, nawet gdyby ich odrazu znalazło się w parlamencie 5 lub 6, nie mieliby żadnego wpływu, w drugim sam ich wybór stałby się kosztowną i demoralizującą farsą.

Poseł Chrzanowski zwraca uwagę i na ten fakt, że socyalizm na Górnym Śląsku i gdzieniegdzie w Poznańskiem, jak np. na Kujawach, staje się czynnikiem groźnym dla dotychczasowych reprezentantów ludu. Zachowanie na przyszłość bezwzględnej solidarności Koła, a więc i zmuszanie do głosowania za cłami i tych posłów, którzy posiadają wyborców robotników, będzie poprostu wodą na młyn stronnictwa robotniczego. „List otwarty“ posła Chrzanowskiego wywołał wielkie wrażenie i cała prasa poznańska w ciągu jakiegoś tygodnia przepełniona była artykułami, listami i wzmiankami, związanemi z tem wystąpieniem posła miasta Poznania. Sprawą, poruszoną przez p. Chrzanowskiego, zajęła się i prasa galicyjska, zwłaszcza ta jej część, która broni bezwzględnie solidarności posłów polskich w Wiedniu.

Co do pism poznańskich, to *Dziennik* z właściwą sobie perfidyą wystąpił przeciwko posłowi Chrzanowskiemu, zarzucając mu pobudki samolubne, ciasnotę poglądów itd. Widać, że nawet tak umiarkowane pod względem treści i formy żądania reformy Koła ubodły srodze organ junkrów polskich. Pieni się on na samą myśl, że można żądać, aby szlachta zrzekła się bodaj okruszyny swych przywilejów na korzyść interesów warstw pracujących. Sprawę śląską *Dziennik Poznański* ignoruje zupełnie, bo cóż mogą obchodzić jaśnie oświeconych protektorów *Dziennika* jakieś tam chamy. *Kuryer Poznański* w artykule redakcyjnym nie przyznał wprawdzie racyi p. Chrzanowskiemu, dał jednak głos i ludziom, oceniającym trochę przychylniej wystąpienie posła poznańskiego. Mianowicie poseł Głębocki uznaje, że „konieczność bezwzględnej solidarności Koła może znaleźć kres, gdy okoliczności wykażą jasno, że jej utrzymanie bezwzględne staje się przeszkodą do uzyskania większych korzyści dla sprawy narodowej, niż uszczerbek, spowodowany zupełnem lub częściowem solidarności uchyleniem.“ Ale poseł Głębocki uważa, że dotychczas taka chwila nie nadeszła, co się zaś tyczy sprawy ceł, to ta nie powinna być taranem, szczerbiącym twierdzę solidarności. Dlaczego? — no, bo cła same przez się nie są rzeczą tak straszną, chodzi tylko o to, by robotnik miał dobrze opłaconą pracę, a już potrafi znieść ucisk ceł. I tu przytacza p. poseł wesołe bajeczki ekonomiczne, spłodzone przez agraryuszów niemieckich ku pocieszeniu jeszcze zupełnie ciemnych mas ludności.

Inny współpracownik *Kuryera Poznańskiego*, ukrywający się pod literami X. Y. Z., uznaje w zasadzie słuszność wywodów p. Chrzanowskiego i tak pisze dalej: „W zasadzie solidarność w sprawach *ekonomicznych* ze strony stronnictwa nie-ekonomicznego, lecz narodowościowego jest nonsensem.“ Zapomina jednak, że Koło bynajmniej nie jest organizacyą narodowościową, że jest ono właśnie organizacyą, broniącą interesów jednej klasy — właścicieli wielkiej posiadłości ziemskiej, i że wszystkie frazesy i hasła narodowościowe, wysuwane przez jego członków, używane są jedynie w celu zatarcia w oczach wyborców klasowego charakteru Koła.

Poseł inowrocławski, p. Krzymiński (ten sam, który pozostaje głuchym na wszelkie żądania swych wyborców, aby stawił się przed nimi na zgromadzeniu i złożył sprawozdanie ze swej działalności poselskiej), oświadcza w *Kuryerze Poznańskim*, że mu są sympatyczne wywody posła Chrzanowskiego, ale uważa, że poseł poznański idzie zadaleko, a więc nie chce, aby solidarność Koła była naruszona ze względów ekonomicznych.

Cała więc prawica dziennikarstwa poznańskiego wypowiada się bezwzględnie za solidarnością, a z jej wystąpień widać, jak jest niezadowolona z poruszenia przez posła Chrzanowskiego tak aktualnej, a jednocześnie tak drażliwej sprawy. Nawet najskromniej konserwatywne pisma widzą dobrze, że sprawa takiego lub innego głosowania za cłami jest bardzo ważna, zwłaszcza obecnie, kiedy wybory nie za górami. Z drugiej jednak strony pragną one utrzymać solidarność Koła nawet w sprawach ekonomicznych. Wykręcają się więc sianem, jak mogą. Oto np. *Dziennik Kujawski* pisze: „Bądź co bądź, dwie przez naszego posła postawione kwestye są wielce doniosłego znaczenia i raz trzeba się przecież z niemi załatwić. Mimowoli(?) nasuwa się jednak pytanie, czyby nie było dla dobra naszego korzystniejszem *odłożyć te kwestye na później* (!), a wszystkie siły wytężyć na agitacyę wyborczą.“ Sprytna to rada — niema co mówić: nie podnośmy przed wyborami żadnych spraw, które tylko psują wyborców, a po wyborach... nie będziemy potrzebowali ich podnosić.

Za projektem posła Chrzanowskiego oświadczyły się trzy pisma: *Praca* p. Biedermanna„ narodowo-demokratyczny *Goniec Wielkopolski*, oraz „narodowy i demokratyczny“ *Dziennik Berliński*. Ten ostatni jednak zamieścił list znanego działacza kierykalnego — p. Mycielskiego z Kobylopola, który oświadcza się za bezwzględną solidarnością Koła.

Nie ulega wątpliwości, że sprawa solidarnego głosowania Koła zostanie rozstrzygniętą w duchu reakcyjnym. Ale będzie to niechybnie krok, który drogo zapłaci szlachta wielkopolska, gdyż opozycya, opierająca się na szerokich masach ludności pracującej, potrafi go odpowiednio wyzyskać.

Pośrednik.

Listy z Francyi.

Paryż, 23 października.

Produkcya węgla we Francyi. — Kopalnie francuskie i ich eksploatacya. — Dochody kopalni d'Anzin. — Ceny węgla we Francyi. — Płaca górników francuskich i ich usiłowania.



Pomimo bogactwa licznych kopalni węgla we Francyi, pomimo eksploatacyi ich przeszło od wieku, kraj ten zajmuje obecnie w tej gałęzi produk-

---

wśród nich wzrastał nastrój świątecznego rozweselenia i najsłodszych nadziei.

Zapytałem jednego razu piękną córę Tayotomi:

— Co znaczy nadobna Liote, że widzę cię bledszą od kwiatu lilii, gdy wpierw miałaś twarzyczkę, jako rumiane apetyczne jabłuszko?

— To nieszczęście, Hwansano, być podobną do czegoś, co nęci smak ludzki.

— I czemuż to, piękna? Wszak nie powiesz, aby szczęściem miało być podobieństwo do żaby lub szpetnego owadu.

— Wiem tylko, — odparła, najwidoczniej łykając łzy, co nagle zasnuły jej jasne oczy — że odrobina urody, jaką posiadam, sprowadzi na mnie najgorszy los. Zdaje mi się, iż jestem czemś, co musi zostać spożyte przez innych, co musi zaspokoić czyjś apetyt. To znaczy — dla siebie samej lub dla kogoś miłego żyć mi niewolno.

Wyrzekła te słowa tak żałośnie, że wzruszyłyby kamień, sądzę jednak że byłyby zgoła niezrozumiałe dla Matsumy, Tayotomi, dwóch młodszych siostrzyczek Liote i trzech jej najmłodszych braciszków, to jest tych wszystkich osób, których apetyt w tej lub innej formie zaspokoić ma ona.

Matsuma promieniał, rozgłaszając, iż słońce miłości go odmładza. Dziwna młodość, oczy jego zaszły maślanką, usta się trzęsą, mowa stała się zająkliwą, a chód podobny do chodu dziecka, uczącego się stawiać kroki.

Jednak kocha. Mówił mi raz:

— Gdyby Liote chciała zobaczyć złotą rzekę, kazałbym roztopić tyle złota, iż płynęłoby u jej stóp potokiem.

A potem:

— Uczynię ją szczęśliwą pomimo jej woli. Będzie otoczona królewskim zbytkiem. Jej ojciec posiędzie zbiór chrząszczów z całej kuli ziemskiej, cała rodzina, nie wyłączając łakomych malców, opłynie w dostatki, których dziś wymarzyćby nie potrafiła.

— Więc bardzo kochasz małą?

— Wiedz, że zgodziłbym się być jej psem, i gdyby mnie biła i kopała, czułbym się szczęśliwym.

W kilka dni po tej rozmowie na zaprosiny Matsumy, udaliśmy się znów wszyscy, to jest rodzina Tayotomi i ja do zamiejskiego pałacyku.

Sądziłem, że ma tam nastąpić ostateczne przybicie targu, domysł ten jednak był w sprzeczności z okazywanym dnia tego przez Liote spokojem. Nie był to martwy i skamieniały spokój, jaki w ostatnich dniach rozlewał się na jej twarzyczce, niby smętny cień śmierci, — ale jakiś inny... Zdawało mi się, że w ukojeniu łagodnem ucichły jej troski — i oto widzę ją niewymuszenie uprzejmą dla wszystkich i bardzo dla małego swego rodzeństwa tkliwą.

Ogród Matsumy, piękniejszy, niż kiedykolwiek, pełen wonnych tchnień, wchłaniał ciszę przedwieczorną, gasząc zwolna w swych cieniach purpurowe odblaski zachodu. Wyniosłe gaje stały milczące i poważne, jak świątynie.

Szukając chłodu w jednym z tych gajów, oddawałem się już czas dłuższy samotnej przechadzce, gdy ujrzałem Liote obok Matsumy na ławeczce kamiennej. W pobliżu był wodotrysk, a przy nim mała Take bawiła się, chwytając w rączęta wodę, ściekającą perlistymi sznurami z konchy marmurowej.

Zatrzymałem się tak blizko nich, iż dokładnie słyszałem słowa ich rozmowy.

— Więc, panie mój — mówiła Liote — pragniesz, bym została twoją własnością. Ale czyś rozważył, co nabywasz? Prócz ciała, które jest rzeczą ludzkim podległą rozporządzeniom — ja mam duszę, a ta jest częścią bóstwa wiekuiście wolną. Ja ci duszy mojej nie oddam, panie, ona ci na zawsze obcą będzie.

— Ja nie żądam duszy twojej, dziecko. Oddal od siebie myśli przykre.

Ona ciągnęła dalej, spokojnie i dobitnie wymawiając słowa:

— Dziękuję ci, panie mój, dziękuję gorąco, iż wolność zostawiasz duszy mojej i poprzestaniesz na posiadaniu tylko ciała

cyi zaledwie piąte miejsce i nie może zaspokoić nawet własnych potrzeb. W r. 1901 Francya wydobyła ze swych zagłębi 33,400,000 tonn, gdy tymczasem Stany Zjednoczone 264,770,127 tonn, czyli blizko trzecią część ogólnej wszechświatowej produkcyi, Anglia 228,784,000 tonn, Niemcy 149,551,000 i Austrya 39,704,000. W prawdzie produkcya węgla i we Francyi wciąż wzrasta, ale daleko wolniej, niż w innych krajach, i nie w takim stosunku, jak spożycie. Od sześciu lat powiększyła się ona tylko o 3½ miliona, zużyto zaś węgla w r. 1900 o 6½ miliona więcej, niż w r. 1896, a mianowicie 46,450,000 tonn, pomimo kryzysu w fabrykach metalurgicznych. Trzecią część potrzebnego Francyi węgla dostarczają jej kraje ościenne — Anglia 8,375,000, Belgia 5,692,000 i Niemcy 2 miliony tonn. Nie mniej jednak i Francya wywozi rocznie blizko 950,000 tonn węgla w gatunkach wyborowych, przeważnie do Belgii i Szwajcaryi, nieco do Hiszpanii i Włoch.

Całą Francyę górniczą dzielą na pięć okręgów: 1) Nord et Pas de Calais—północny, który dostarcza najwięcej, bo aż 20,264,000 tonn i zatrudnia 85,000 robotników; 2) Loire — w zagłębiach nad rzeką Loarą, dostarczający 3,951,000 tonn i zatrudniający przeszło 20,000 ludzi; 3) Sud—południowy, produkujący 3,045,000 tonn i mający 41,000 robotników; 4) Centre — środkowy, z 7,000 górników i 5) Saône et Loire — w zagłębiach nad rzekami Saoną i Loarą z 9,000 robotników. Ogółem liczą we Francyi do 170,000 górników, z których na zewnątrz kopalni pracuje 47,500, a w tej liczbie 5,700 kobiet i 4,500 dzieci w wieku od 13 do 16 lat.

Na wszystkie francuskie kopalnie węgla mają bezterminową koncesyę różne prywatne towarzystwa akcyjne i za tę wieczystą dzierżawę płacą państwu w razie eksploatowania kopalni 10 fr. rocznie od kilometra kwadratowego i 1½ centima od tonny wydobytego węgla — sumę minimalnie nizką, a i tę potrafią nieraz obniżyć niemal o połowę. Wiele z tych kopalń, których ogółem jest z górą 700, leży porzuconych odłogiem; były lata, że ilość ich dosięgała 45%, towarzystwa bowiem eksploatują chętnie tylko najbogatsze i najdogodniejsze, oraz często przez pewien czas jedynie, dopóki wydobywanie węgla nie jest zbyt trudnem i kosztownem.

Kopalnie francuskie pozostają w rękach spekulantów, nieposiadających ani tak olbrzymich kapitałów, ani takiego zmysłu handlowego w połączeniu z rzutkością przedsiębiorczą, jak przemysłowcy amerykańscy, są wogóle eksploatowane bezładnie, niezdarnie i pod tym względem ustępują wiele kopalniom angielskim i amerykańskim. Gdy w Ameryce praca ręczna górników, przebijających kilofami galerye podziemne, z każdym dniem ustępuje coraz bardziej różnym olbrzymim świdrom, piłom, poruszanym elektrycznością lub ścieśnionem powietrzem, tak że dziś ilość tych maszyn wynosi przeszło trzy tysiące, we Francyi używają motorów w kopalniach jedynie do przewożenia węgla i wydostawania go na zewnątrz, do zastąpienia niejako siły końskiej, a nie ludzkiej. Nic więc dziwnego, że górnik francuski wydobywa rocznie tylko dwieście kilkadziesiąt tonn węgla, gdy angielski przeszło trzysta, a amerykański, najlepiej płatny, z górą czterysta pięćdziesiąt, choć pracuje względnie najkrócej. Cała eksploatacya kopalni francuskich, wielkie oszczędności na maszyny i wszelkie ulepszenia, porzucanie kopalń, przedstawiających więcej trudności i narażanie ich na całkowite zniszczenie, natychmiastowe zmniejszanie produkcyi węgla w razie najmniejszej stagnacyi w przemyśle — wszystko obliczone jest na zdobycie w jak najkrótszym czasie możliwie największych zysków osobistych bez względu na ruinę bogactw krajowych, na nędzę tysięcy. I obliczenia te zwykle nie mylą, akcye na giełdzie idą wciąż w górę, dywidendy wzrastają, niema przeto potrzeby zakładania we Francyi trustów. Dość poznać historyę jednego z francuskich towarzystw kopalni węgla, ażeby mieć pojęcie o ich olbrzymiem wzbogaceniu się. Weźmy np. jedno z najstarszych towarzystw północnych, Compagnie d'Anzin, mającej w łonie rady administracyjnej byłego prezydenta rzeczypospolitej, Casimir-Perrier'a, księcia d'Audiffred-Pasquier'a, księcia d'Aremberg'a i w. in. Otrzymało ono koncesyę jeszcze w XVIII w. i może eksploatować do nieskończoności 20,054 hektarów ziemi, a obecnie posiada nadto koncesyę na 37 kilometrów kolei żelaznej, prowadzącej do kopalni. Początkowo kapitał zakładowy był względnie skromny, składał się bowiem z 288 udziałów (obecnych akcyj), wynoszących ogółem 1,365,500 franków, nie licząc około 100,000 fr. zapomogi rządowej. Otóż po 50 latach, tj. w r. 1781, udziały po cztery tysiące fr. warte już były osiem razy więcej, a w r. 1833 wartość ich dosięgała 100,000 fr., w 1840—200,000 fr., w 1874 — 800,000 fr., słowem, kapitał zakładowy, wynoszący około półtora miliona, wzrósł do 230 milionów. Dywidenda roczna wzrastała też niepomiernie, w ciągu 120 lat wypłacono ogółem 255 mil. fr. czystego zysku, co łącznie z kapitałem wynosi pół miliarda franków; przeszły one do kieszeni potomków Perriera, d'Aremberga itd., którzy przed półtora wiekiem wyłożyli około półtora miliona.

Wobec tak olbrzymich zysków akcyonaryuszów we Francyi i tak nieudolnej eksploatacyi węgla, nieodpowiadającej postępom teraźniejszej techniki, ani tegoczesnym wymaganiom, nie dziw, że z jednej strony ceny węgla są wyższe we Francyi, niż gdzieindziej, a z drugiej — że los górników francuskich nie jest bynajmniej godny pozazdroszczenia.

Podług danych urzędowych, w ciągu ostatnich sześciu lat, do końca roku zeszłego, ceny węgla we Francyi wciąż niepomiernie wzrastały. W 1896 r. jedna tonna północnego węgla sprzedawaną była publiczności po 9 fr. 55, w latach następnych po 9 fr. 77 c., 12 fr. 34 c., 15 fr. 37 c., a w r. 1901 aż po 16 fr. 45 c. Kiedy we Francyi w r. 1900 sprzedawano na miejscu tonnę węgla po 15 fr. 3 c., w Anglii cena wynosiła 13 fr. 41 c., a w Stanach Zjednoczonych tylko 6 fr. 86 c. Tak bardzo wygórowane ceny węgla francuskiego w epoce przedwystawowej nie mogły w roku bieżącym—chwili powszechnego kryzysu w przemyśle — podnosić się jeszcze więcej i musiały nawet obniżyć się nieco. Spadły one przeważnie w sprzedaży hurtownej dla przemysłu wielkiego, i to nie więcej, jak o franka lub półtora na tonnie.

Zbytecznem jest zaznaczać, że choć dywidenda może być w tym roku mniejsza i akcye wyżej nie podskoczą, właściciele kopalń nie potrzebują się obawiać strat rzeczywistych, że nie zagraża im żaden krach, boć niebywałą zwyżkę do 17 fr. za tonnę uważali chyba sami za nadzwyczajną, wyjątkową, niby jakąś wygraną na loteryi lub giełdzie. Trudno im było jednak pogodzić się ze zmorą obniżenia dywidendy, przeto dla powetowania mniemanych strat starali się najpierw zmniejszyć pro-

---

mojego. Otóż przyrzekam tobie, że ono stanie się twoją własnością, twoją rzeczą, z którą uczynisz, jako zechcesz.

— Dość Liote, mówisz to posępnie, a ja chciałbym widzieć uśmiech twych usteczek. Wiedz, iż spełnię wszystko, com rzekł. Twoja rodzina — bo to dla niej czynisz to, co dzisiaj nazywasz „ofiarą" — pozyska połowę moich bogactw.

Na zwiędłe jego lica wystąpiły wypieki ciemne, co nic dodało mu powabu. Był wzruszony, sądzę, iż trząsł się...

— Tak, połowę mego majątku, Liote. To już się stało. Widzisz ten papier, o cudna (wyjął go z zanadrza), daję ci go wzamian za twoje słowo, papier ten czyni twego ojca tak bogatym, że do śmierci nie zazna troski i wyposaży swą dziatwę po książęcemu.

Liote nizko, nizko opuściła głowę.

— I to za ciało moje, za samo ciało śmiertelne i nędzne, tyle złota dajesz, Matsumo?

— O Liote, niechbym się jutro stał nędzarzem za usta twoje dzisiaj.

Ona skinieniem przyzwała małą Take, pogłaskała jej liczko rozrumienione i wcisnąwszy w piąstkę dziecka papier otrzymany od Matsumy:

— Biegnij Take — rzekła — oddaj to ojcu naszemu. Nie upadnij, złotko.

I w ślad maleńkiej patrzyła długo, potem opuściła powieki, pochyliwszy znów głowę, może dla ukrycia różowości sromu, co teraz twarz jej zalała. Bo była już rzeczą sprzedaną...

Matsuma posunął zwolna rękę ku jej kibici, oplótł ją, przyciągał, zbliżając usta do nagiej szyi dziewczęcej. I zdawało mi się, że Liote omdlewa, że słania się i sama na pierś jego padnie, jak ptak pod czarem spojrzenia węża.

Lecz ona zerwała się nagle.

— Poczekaj Matsumo, zawołała. Posiędziesz mnie całą.

I nóż, niespodzianie ze zwojów sukni wydobyty, ruchem szybkim i silnym wbiła sobie w pierś.

Nim przybiegłem, nim znalazłem się przy niej, leżała już jak gołąbka zakłóta. Jeszcze szepnęła:

— Jak przyrzekłam, Matsumo, oddaję ci ciało moje.

. . . .

Kochany chłopcze, — to stało się miesiąc temu, a na wstępie rzekłem, iż Liote żyje. Odratowaliśmy biedne dziecko, choć przyszło to z trudnością.

Rana okazała się do zagojenia, o ile udałoby się uspokoić biedactwo i wrócić jej chęć do życia. Cudu tego dokonał Matsuma, wracając jej słowo.

Staruszek mocno odczuł ten wypadek. Mówił, że krew Liote chlusnęła mu w usta i oczy, że czuł potem ciągle smak krwi, a przed oczami latały mu wciąż czerwone płatki, rozchorował się, gdy zaś wstał po paru tygodniach z łóżka, był istotą zupełnie strupieszałą.

Tayotomi naturalnie pośpieszył ze zwrotem papieru, stanowiącego dowód, jak wysoko Matsuma ocenił Liote. Skoro jednak towar nie został wzięty, uczciwość kupiecka — acz nie bez bólu serca — nakazała oddać zapłatę. Ale niedoszły małżonek Liote uparł się wtedy, by te pieniądze zostały własnością jej rodziny, przewidując zaś odmowę dziewczęcia, zapisał je małej Take i uczynił zarazem Tayotomi opiekunem tego majątku.

Liote tedy jest biedna, jak dawniej.

Przyjeżdżaj, bierz ją i idzcie w świat dorabiać się we dwoje. Przyjdzie wam to bez wątpienia łatwo — pod względem potomstwa, bo co się tyczy pieniędzy — sądzę, że nie rychło na zbytek ich uskarżać się pocznicie.

Dopisek Liote. Serdecznie miły Mito mój, dopisuję tylko kilka słów, bo ręka mi jeszcze trochę drży, ale prędko będę zupełnie zdrowa; myśl o twoim coraz bliższym powrocie będzie mnie umacniała z dnia na dzień. Bo ty wrócisz, prawda, po twoją ubogą, jak mysz, Liote?

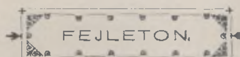
dukcyę węgla, ograniczając ilość dni pracy i oddalając pewną część robotników, a następnie zaczęli zwolna obniżać wszędzie płacę górnikom.

Po długich walkach i usiłowaniach zorganizowani robotnicy francuscy zdobyli w ostatnich czasach nieco lepszą płacę, niż w latach poprzednich, kiedy literalnie z powodu niedostatecznego odżywiania się, z wycieńczenia, stawali się ofiarami przeróżnych chorób i przedwczesnej śmierci. W miarę wzrostu lichwiarskich zarobków akcyonaryuszów musiano nieco podnosić płacę robotnikom, choć bynajmniej nie w odpowiednim stosunku do powiększonej ceny węgla. Już w 1891 r. zaczęła obowiązywać w okręgu północnym przyjęta dobrowolnie przez strony sporne umowa t. zw. *convention d'Arras*, na mocy której każde towarzystwo akcyjne do stałej płacy dziennej, jaka miała być przeciętna z 1889 r., dodawało dwie zwyżki, t. zw. *primes*, po 10%, czyli ogółem 20%, co wynosiło w Pas de Calais ogółem 4 fr. 80 c. Przez lat siedem płaca ta nie uległa zmianie, pomimo że produkty żywności w tym okresie czasu podrożały. Dopiero w 1899 r., po mozolnych staraniach i energicznych żądaniach, podniesiono premie o 5%, a w 1900 r. początkowo też tylko o 5%, w końcu zaś jeszcze o 10%, tak że zwyżka ogółem wynosiła 40%. W epoce więc najwyższej płacy w 1900 r. górnik, pracujący w zagłębiach Pas de Calais, mógł zarobić na dzień przeciętnie 5 fr. 41 c. (wyjątkowo 5 fr. 73 c.), czyli rocznie 1,539 fr., a w innych okręgach daleko mniej, jak np. w Commentry tylko 4 fr. 28 c. Ze względu na drogie utrzymanie we francuskich zagłębiach górniczych dochód ten nie jest nigdy wystarczający do wyżywienia rodziny, to też wszędzie niemal we Francyi musi chodzić do pracy i kobieta i dziecko.

Towarzystwa górnicze, opierając się podnoszeniu stałej płacy robotników, a jedynie dając im coraz wyższe *primes*, chciały tym sposobem mieć możność w chwili odpowiedniej łatwiejszego obniżenia się zarobku, zmniejszając owe premie, znosząc te niby gratyfikacye, przyznane chwilowo na pewien przeciąg czasu. Przed kilku miesiącami, kiedy ceny węgla nieco spadły, zaczęły one w praktyce stosować swą dyalektykę — nie zmniejszając jakoby stałej płacy, najprzód w Nord i Pas de Calais, a później wszędzie obniżyły premie o 10% i więcej. Było to iskrą do wywołania starcia, które się już oddawna przygotowywało, tłumione sztucznie przez kandydatów do parlamentu i jego przedstawicieli, jak Basly i Lamendin. Przez dwa lata przeszło zażegnywano burzę, spokojni parlamentarze używali w tym celu wszystkich środków: odkładali decyzyę od jednego do drugiego zjazdu, a później znów uchwały zjazdów poddawali pod referendum wszystkich górników; gdy zaś większość nie była po ich stronie, nawoływali do poszanowania mniejszości i zarzucali nieprawidłowość w głosowaniu; zaklinali, by czekano na rozprawy i decyzye komisyj parlamentarnych, a później Izby i Senatu, który do dnia dzisiejszego nie postawił na porządku dziennym prawa, uchwalonego przez dawną Izbę o stopniowem w przeciągu lat czterech zaprowadzeniu w górnictwie ośmiogodzinnego dnia roboczego.

W roku bieżącym—przed dwoma tygodniami — nie zdołano już powstrzymać podnoszącego się huraganu. Najspokojniejsi przedstawiciele górników, jak deputowany Basly, nie chcąc stracić popularności, musieli iść za rwącym prądem żądań swoich wyborców. Dzięki ich wpływowi, zabiegom i staraniom, zdołano na razie postawić tamy groźnej nawalnicy, ograniczając całe starcie do przywrócenia dawnej płacy i zwracając się raz jeszcze do parlamentu o stopniowe wprowadzenie w kopalniach ośmiogodzinnego dnia pracy, o emeryturę 2 fr. dziennie na starość dla górników, którzy pracowali lat 30 i doszli do 50 roku życia, o mianowanie górników, wybranych przez swych kolegów, inspektorami dla nadzoru nad bezpieczeństwem życia w kopalniach, o sądy przemysłowe itd. Dziś do walki o podniesienie płacy górników, o zwiększenie ich praw występuje nie garstka robotników z jednej kopalni, ale prawie 160,000 na ogólną liczbę 170,000, cały niemal Związek zawodowy górników, rozwijający się coraz bardziej od 1892 r., a przedewszystkiem 60,000 zsyndykowanych pracowników, łudzących się coraz mniej obietnicami swych deputowanych i senatorów.

Dr. Józef Zieliński.



LIBERUM VETO.

Kłamstwo.

Gdyby Sfinks dzisiejszy dał zagadkę: co ludzie najchętniej i najpowszechniej czynią na wszelkich stanowiskach i we wszystkich porach życia — należałoby odpowiedzieć: kłamią. Rzeczywiście trudno byłoby wynaleźć w nich jakiś rys ogólniejszy, jakiś bardziej wspólny mianownik, mieszczący w sobie niezliczone różnice ich charakterów. To już nie grzech, nie wada, nie występek, lecz bądź „złe konieczne,“ bądź „cnota praktyczna.“ „Społeczeństwo — powiada jeden z badaczów tego objawu — wymaga prawie rozkazująco pewnego minimum kłamstwa lub udawania; dopiero gdy kłamstwo przekroczy to minimum, staje się antispołecznem.“ To też kłamią dzieci, dojrzali i starcy, kłamią uczciwi i łotry, kłamią w nauce, sztuce, polityce, w stosunkach publicznych i prywatnych — wszędzie. Kłamstwem są teorye naukowe, z pogwałceniem prawdy dopasowane do interesów stronniczych, kłamstwem poematy z podrobionemi uczuciami, kłamstwem obrazy fałszujące rzeczywistość, kłamstwem umowy podstępne, związki obłudne, kłamstwem domy, w których mieszkamy, odzież, którą nosimy, ulice, po których chodzimy, kłamstwem sklepy, banki, szkoły, przytułki itd. Kłamstwo — to nie robaczek, dający się łatwo wytępić, ale olbrzymi głowonóg, opłatający całą ludzkość. Nic też dziwnego, że ono nie jest już dziś jedynie przedmiotem moralizujących książek dla dzieci, lecz wystąpiło jako wielkie zagadnienie psychologiczno-społeczne.

Chociaż człowiek oswoił się z tą swoją naroślą moralną, chociaż dostarcza ona stale i powszechnie włókien pewnym tkankom jego życia, jednakże czuje on więcej lub mniej wyraźną tęsknotę do prawdy i rozumie, że owo „złe konieczne“ nie przestaje być złem. Nawet wtedy, kiedy uznajemy, że trzeba taić przed suchotnikiem niebezpieczny stan jego zdrowia, że trzeba na wojnie udzielić fałszywych objaśnień wojsku nieprzyjacielskiemu, że trzeba zbrodniarzowi dać mylne wskazówki, nawet wtedy dostrzegamy, że w tych naszych czynach pożytecznych tkwi jądro moralnie trujące. Więc postawieni pomiędzy niezbędnością praktyczną fałszu a głębokim do niego wstrętem, pytamy siebie: czy on stanowi nieunikniony pierwiastek istoty życia społecznego, w jaki grunt dusz ludzkich zapuszcza swe korzenie i jakie warunki sprzyjają jego rozwojowi?

C. Mélinand poświęcił temu przedmiotowi ciekawy artykuł w miesięczniku francuskim *La revue*. Według niego dziecko rodzi się prawdomównem, dopiero uczy się kłamać przez gry (zabawy), naśladownictwo i wpływy otoczenia. Tę naukę utrwalają w niem korzystne jej owoce, grzeczność, wstyd i inne uczucia wymagające obłudy, a wreszcie wyobraźnia, która często bez celu, a przynajmniej bez rachuby przędzie niebywałe zmyślenia. Autor dzieli kłamstwo na grupy i wyprowadza całą ich psychologię, którą pomijam, gdyż w tej chwili idzie mi głównie o społeczną stronę sprawy. „Ponieważ niema ludzi bezwzględnie szczerych — mówi on — przeto w rzeczywistości składają oni dwie kategorye: jedni zadawalają się przeciętną miarą kłamstwa, wymaganą przez życie społeczne, drudzy zaś wychodzą po za nią i kłamią zawsze, ile razy potrzebuje tego ich interes.“ Jaka jest owa przeciętna miara? Jak ją wynaleźć i oznaczyć? Kiedy u nas przed 30 laty zaczęto rozpowszechniać teoryę Darwina, usiłowano jej wyznawców powstrzymać, a nawet zbezcześcić argumentem, że ona jest „szkodliwą dla naszego społeczeństwa,“ którego „zdrowie“ wymaga biologii nieprawdziwej. Skutki przekonały, że to kłamstwo nie było nam potrzebne i nie zaraziło wcale naszego „zdrowia,“ a jednakże przez swych obrońców uważane było za „społecznie nakazane.“ Kiedy w pewnej książeczce popularnej wyłożono geologiczną teoryę Lyella, piastunowie prostoduszności również zasłaniali ją przed tym „mroźnym“ podmuchem i dowodzili pożytku „ciepłego“ kłamstwa w nauce o powstawaniu ziemi. I tu ich obawy okazały się płonne: Leyll nikogo nie zabił i nie zdemoralizował. Słowem, minimum niezbędnego społecznie kłamstwa nie da się nigdy określić, a jako zasada może usprawiedliwić wszelkie nadużycia nietolerancyi. Więc nie należy nigdy kłamać? Każde tego rodzaju pytanie stawia nam zawsze przed oczami chorych, nieznoszących prawdy swojego stanu, matki w białych szatach, zwodzące swych synów na szafocie nadzieją ułaskawienia, magnetyzerów ludowych, rozniecających w tłumie zapał przesadą i tym podobne przykłady klasyczne, przytaczane zwykle na obronę kłamstwa. Ale chociażby te wypadki istotnie dowodziły jego użyteczności, wszystkie one należą do położeń złych. Czyli kłamstwo jest środkiem ratunkowym, ale nigdy leczniczym, usuwa ono czasem groźbę natychmiastowego niebezpieczeństwa, ale niszczy organizm moralny. „Istotnem źródłem kłamstwa — powiada słusznie Mélinand — jest nieprawidłowość życia,“ którą przedewszystkiem trzeba usunąć, jeśli chcemy pozbyć się tego nieszczęsnego lekarstwa. Społeczne rusztowanie stosunków ludzkich jest tak wątłe, nienaturalne, spróchniałe, że dla utrzymania go w mocy trzeba posługiwać się wiązaniem w istocie swej nikczemnem — obłudą. Dopóki ono będzie takiem, jakiem jest, kłamstwo zachowa swą siłę obowiązującą i wszystkie etyki go nie zmogą. Człowiek będzie z kazalnicy rzucał gromy na maski i, zszedłszy z niej, włoży maskę.

Nie ulega jednakże zaprzeczeniu, że w społeczeństwach dzisiejszych objawia się znaczna (zależna od ich wewnętrznego ustroju) różnica prawdomówności. Szwedzi daleko mniej kłamią, niż Chińczycy, Francuzi mniej, niż Hiszpanie. A my? My kłamiemy strasznie. Kłamiemy bowiem nietylko z powodów i nawykień ogólnoludzkich, ale także ze swoistych, spoczywających bądź w sieci warunków życiowych, bądź też w naszej naturze duchowej. Każdy może to stwierdzić, że człowiek nieszczęśliwy ma większą skłonność (i racyę) do kłamstwa, niż szczęśliwy, ubogi— większą, niż bogaty, niewolnik — większą, niż pan. Pierwsi są zmuszeni częściej używać tej drogi dla wyjścia z trudnych położeń i częściej ta jedna im tylko pozostaje. Nie bez pewnej słuszności ktoś wyrzekł, że

„najwierniejszym przyjacielem niedoli jest kłamstwo.“ Czy podziemna, wilgotna nora nie stanowi fałszu mieszkania ludzkiego? A cóż nam odpowie żyjąca w niej nędza?— Nie mam innego przytułku.

Całe narody, jak osobniki obdarzone bujną wyobraźnią, usiłują przetwarzać rzeczywistość, zaprawiając swe czyny i słowa przesadą lub zmyśleniem. Imaginacya, zdaje się, jest najmocniejszą z władz naszej duszy. Objawiła się ona we wspaniałych tworach sztuki, dała życiu naszemu w pewnych chwilach wielki rozmach i polot, ale zarazem rodziła kłamstwa. Do badań ścisłych — matematycznych, przyrodniczych, lingwistycznych — nie mamy zdolności, a mamy odrazę, natomiast do badań, w których fantazya może szeroko rozpostrzeć skrzydła, jak w historyi, czujemy szczególne upodobanie. Nasza filozofia jest pasmem rojeń, nasza socyologia—sielanką, a wszelką prawdę naukową, która obraża interes lub tradycyę, chowamy w szczelny futerał. Posłuchajcie krytycznie opowieści o jakiemś zdarzeniu, przeczytajcie w naszych dziennikach sprawozdania, opisy wypadków, biografie, nekrologi itd.—nie dostrzeżecie nawet chęci utrzymania się w przedmiotowości. Są to z nielicznymi wyjątkami większe lub mniejsze, świadome lub bezwiedne kłamstwa. Mamyż z tego się leczyć? Energicznie i troskliwie. Ale czy mamy się potępiać? Nie. To nie występek, ale „irrégularité de la vie“ — jak mówi Mélinand. Naszym obowiązkiem jest zawsze pamiętać o fatalnym wpływie warunków życia i właściwościach ducha naszego, o tem wreszcie, ażeby nie powiększać sztucznie potrzeby nieszczerości i nie widzieć w niej zasady „społecznie nakazanej“ tam, gdzie ona jest tylko bezcelową lub szkodliwą obłudą. Wraz ze wszystkimi ludźmi skazani jesteśmy na postęp ku prawdzie i wyłamanie się z kłamstwa — starajmy się więc tego przeznaczenia nie opóźniać.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Chorwaci i Serbowie.

(Studyum socyologiczne).

I.

Dziejopisarstwo nigdy nie było nauką, ani dzisiaj jeszcze nią nie jest. Było zawsze przedstawieniem wypadków w pewnych celach i tendencyach. Te cele i tendencye mogły być bardzo chwalebne i mogą takimi być i dzisiaj. Rozbudzić miłość ojczyzny, uświetnić czyny przodków, wykazać postęp ludzkości, zbawienność pewnych form politycznych a zgubność innych, kreślić wzrost państwa od małych początków do świetności i potęgi itp. cele stawiało sobie dziejopisarstwo od najdawniejszych do najnowszych czasów. Dopiero dzisiaj w ślad za socyologią, która właściwie nie jest niczem innem, jak teoryą dziejów ludzkich, zaczyna się tu i owdzie kierunek naukowy dziejopisarstwa. Kierunek ten nie ma żadnych celów *moralnych*, że tak powiem, wyłącznie cel naukowy, tj. chciałby dociec, *jak* rozwój społeczny się odbywa w rzeczywistości i jakie prawa rozwojem tym rządzą. Ten kierunek socyologiczny dziejopisarstwa możnaby nazwać *amoralnym*: bo żadnych „moralnych“ celów sobie nie zakłada. Jest on tak amoralny, jak np. chemia.

Kto się jednak przejął ideą tego socyologicznego dziejopisarstwa, ten na każdej stronicy panującego dziś bądź heroistycznego, bądź zwykłego politycznego, bądź narodowego albo klerykalnego dziejopisarstwa napotka rażące i w najwyższym stopniu nienaukowe twierdzenia, które dotąd uchodziły i poniekąd dzisiaj jeszcze uchodzą za prawdy, a jednak tylko są urojeniami, służącemi pewnym tendencyom, albo pewnym „prawdom moralnym.“ Badacz taki w dziejopisarstwie napotka bardzo dużo „moralności,“ ale bardzo mało prawdy. Jeżeli dziejopisarstwo wieków średnich i nowszych czasów kazało ludom przywędrować z Azyi do Europy, to i w tem opowiadaniu tkwiła pewna myśl moralna: tendencya przedstawienia wszystkich ludów jako jednej wielkiej rodziny, a zatem wszystkich ludzi, jako braci. Ale opowiadanie takie nie może uchodzić za naukowe, choćby dlatego, że o tem nic nie wiemy, a bardzo dużo faktów antropologicznych przemawia przeciw takiemu zapatrywaniu.

Niemniej takie opowiadanie, przez tyle wieków powtarzane, wywarło tak silną suggestyę na umysły historyków europejskich najnowszej nawet doby, że taki Palacki np. opowiada o przywędrowaniu Czechów do Europy z Azyi tak, jak gdyby to był fakt naukowo stwierdzony. A i historycy niemieccy powtarzają ciągle tę samą bajkę o przywędrowaniu Niemców z Azyi i wędrówce ich coraz dalej na zachód, przyczem w miarę posuwania się ich w tym kierunku, tuż za nimi wędrujący Słowianie zajmować mieli opuszczone przez nich siedziby. Świeżo nawet czytałem w jednej z rozpraw Piekosińskiego, ogłoszonej przez Akademię Umiejętności w Krakowie *), że „kiedy Lechici polscy, prawdopodobnie w VI wieku po Chrystusie, objęli w posiadanie ojczyznę naszą, mianowicie kraj położony pomiędzy Wisłą, Odrą, Notecią a Karpatami, nie zastali tu żadnych zgoła autochtonów; kraj był dziki, ręką kultury nietknięty... więc chociaż polscy Lechici podczas pobytu swego w Azyi“ itd. itd.

Znane są wielkie zasługi Piekosińskiego na polu sfragistyki, numizmatyki, heraldyki i prawoznawstwa polskiego, ale niech wybaczy szanowny historyk: przypuszczenie, jakoby jacyś „polscy Lechici“ w VI wieku objęli ojczyznę naszą, jako kraj „bez autochtonów,“ a więc pusty i dziki, ręką kultury nietknięty, jest zgoła nienaukowe, powiedziałbym śmieszne. Niezliczone wykopaliska dowodzą, że kraj między Bałtykiem a morzem Czarnem był zaludniony już za czasów, poprzedzających erę chrześciańską; o zaludnieniu krajów tych świadczą historycy greccy od Herodota; drogi handlowe szły przez te kraje w pierwszych wiekach po Chrystusie; znali historycy i geografowie rzymscy, znał Tacyt ludy tych krajów, znali je geografowie pierwszych wieków ery naszej. Jeżeli więc takie twierdzenia, jak wspomniane Piekosińskiego, powtarzają się ciągle jeszcze i to w publikacyach akademickich, dzieje się to skutkiem świadomej lub bezwiednej tendencyi „moralnej“ lub też poprostu suggestyi, powstałej przez powtarzanie nieustanne takich, pierwotnie świadomo-tendencyjnych, bajek. O przywędrowaniu z Azyi mówiliśmy już: jest to poprostu suggestya, wywołana wiekowem powtarzaniem podań. W opowiadaniu o objęciu „kraju pustego“ leży nieświadomie może tendencya wykazania, że odbyło się to w drodze legalnej. Prof. Piekosiński, jako prawnik, pamięta dobrze reguły prawa rzymskiego: *res nullius cedit primo occupanti*, to znaczy, że rzecz opuszczona staje się własnością pierwszego, który ją obejmuje! Chcąc zatem objęcie ojczyzny przedstawić jako akt legalny, każe jej być pustą w VI wieku po Chr., aby „polskim Lechitom“ (?) nie można było zarzucić jakiejś zdrożności lub nielegalności przy objęciu tego kraju. Powtarzam, to wszystko są bardzo „moralne“ tendencye, i tak się zawsze pisało historyę, zwłaszcza własnego kraju i narodu: ale to nie jest naukowe przedstawienie, pomimo że się znajduje w publikacyi akademickiej. Oczywista, że prof. Piekosińskiemu nie można z tego powodu robić żadnego zarzutu: bo nie jest on jedyny, który głosi takie zapatrywania historyczne. Wskutek wielowiekowego wpływu, jak również wskutek tendencyi patryotycznej, pełno jest takich i tym podobnych, naukowo biorąc, niedorzecznych twierdzeń u wszystkich prawie dziejopisarzów, nawet najznakomitszych, wszystkich krajów europejskich. Bo, jak powiadam, dziejopisarstwo nigdy nie było i nie jest nauką, ale raczej polityką albo poezyą, najczęściej jedną i drugą, to znaczy poezyą polityczną.

Nie trudno by było na poparcie zdania tego przywieść przykłady z dziejopisarstwa wszystkich wieków i wszystkich narodów, odkąd i gdzie tylko pisano historye: poprzestanę dziś tylko na jednym przykładzie, dosyć charakterystycznym, a o tyle aktualnym, że dotyczy dwóch narodów, które świeżo przypomniały się światu gwałtownym wybuchem odwiecznej, głęboko zakorzenionej nienawiści wzajemnej. Mam na myśli Serbów i Chorwatów.

Wszyscy historycy słowiańscy, nie wyjmując specyalnych historyków serbskich i chorwackich, opowiadają początek państw serbskiego i chorwackiego w następujący sposób, opierając się przytem na źródłowem świadectwie cesarza Konstantyna Porfyrogenety.

„Około r. 635 po Chr. szczep słowiański Chorwatów przybył do kraju między rzekami Kulpą, Cetynią i Verbasem, powołany w te strony przez cesarza Herakliusza w celu zwalczenia i wypędzenia Awarów, którzy przedtem te kraje byli zajęli. Dawną ojczyzną szczepu chorwackiego była Biała Chrobacya na północnej stronie Karpat. Udało się Chorwatom pobić Awarów, poczem cesarz Herakliusz oddał im te kraje w posiadanie. Od tych Chorwatów pochodzą dzisiejsi Chorwaci. W podobny sposób krótko po Chorwatach do krajów między Dunajem, Morawą a Dryną przybył inny szczep północno-słowiański, Serbowie z kraju Sorbów w późniejszych Łużycach, i dał początek narodowi serbskiemu.“

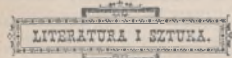
Całe to przedstawienie socyologowi z góry wydać się musi bardzo podejrzanem. Bo przedewszystkiem fałszywem jest wogóle przedstawienie wędrówek ludów w taki sposób, jakoby całe szczepy wędrowały z kraju do kraju i jedne po drugich zajmowały kraje, opróżnione od poprzedniej ludności. Ani więc Awarowie nie zajmowali krajów późniéj serbskich i chorwackich tak wyłącznie, że po ich wypędzeniu posiadane przez nich siedziby zostały się puste, ani też z Białej Chrobacyi i Sorbii łużyckiej nie mogło przybyć tyle ludu, aby kraje te w zupełności osiedlić i dać początek dzisiejszym Serbom i Kroatom. W wiekach średnich, podczas tak zwanych wędrówek ludów, rzeczy zupełnie innym trybem się odbywały. Nie ludy całe, nie szczepy wędrowały, kraje nie pustoszały nigdy całkowicie, aby się potem nanowo przybyszami obcymi zapełnić: takie pojmowanie owych „wędrówek ludów“ jest najmylniejsze. Zawsze i wszędzie bywa rodzaj ludzi, łgnących do gleby ojczystej, póki ich ostatnia nędza, głód albo gwałt z kraju nie wypędzą; zawsze i wszędzie jednak zjawia się i taki rodzaj ludzi, którym „tam ojczyzna, gdzie dobrze.“ Do tej kategoryi należały w wiekach średnich te niezliczone drużyny wojowników germańskich, które wałęsały się po całej Europie od krajów skandynawskich aż do południowych koń-

*) O monecie polskiej; Rozprawy, serya II, tom X, str. 391.

czyn Grecyi, Włoch i Hiszpanii. Nosiły one najrozmaitsze nazwy: Normanów, Gotów, Burgundów, Herulów, Rugów, Waregów itd. Te drużyny wojowników najeżdżały najrozmaitsze kraje europejskie, czyniąc wyprawy morzem, rzekami i lądem, a szukając wszędzie nie *ziemi*, którąby chcieli uprawiać, ale *ziem zaludnionych*, nad którymiby mogły *panować*. Gdzie im się to udało, tam zostały one klasą panującą, która zdobyty kraj zaludniony pomiędzy siebie rozdzieliła i póty panowaniem tem się cieszyła, póki przez inną, silniejszą drużynę, nie została wyrugowana. W wielu jednak krajach udało im się osiąść na dobre i panowanie swoje przez wieki utrzymać, jak np. Frankom we Francyi i Niemczech północno-zachodnich, Wizygotom w Hiszpanii, Normandom w Anglii itd. itd. W krajach zajętych stanowili oni *szlachtę*, która najczęściej z czasem przejmowała język i narodowość ludów podbitych. Otóż „Chorwaci“ i „Serbowie,“ których wezwał cesarz Herakliusz na pomoc przeciwko Awarom, byli to oczywiście wojacy, panowie, którzy w Białej Chrobacyi i w Łużycach należeli do klasy panującej, a pochodzili z tych germańskich drużyn wojowniczych, które od kilku wieków panowały w krajach nadwiślańskich i nadłabańskich.

(C. d. n.)

Prof. Ludwik Gumplowicz.



POEZYA I RYMY.

Edward Słoński: *Poematy: Pieśń, Mary.* Warszawa, 1901 r. *Do Boga*, poemat. Warszawa, 1901. *Noc.* Warszawa, 1901.

Edward Słoński jest jednym z najpłodniejszych poetów naszej doby. Poczynając od dwu pierwszych, co prawda miniaturowych zbiorków, które się ukazały przed czterema laty („Dla mojej Pani“ i „Z wiosennych dum“), wydaje już oto siódmy tomik; a mieści się w nich i parę obszerniejszych poematów, jak „Pieśń,“ „Mary,“ „Do Boga.“ W tym dość pokaźnym ilościowo dorobku panuje jednak zbytnia jednostajność tonu. Tylko z pewnem nadużyciem słowa możnaby rzec, iż twórczość p. Słońskiego rozwija się lub pogłębia. Zapewne, jego charakterystykę poetycką można uczynić o wiele dokładniejszą i wyraźniejszą na podstawie późniejszych wydanych prac; ale bądź co bądź, oglądając się wstecz, dostrzegamy, że wszystkie główne rysy natchnień poety uwydatniły się już w najwcześniejszych utworach. Po dawnemu widzimy wielką łatwość wierszowania, płynność melodyi, obok niezbyt krytycznego wyboru wyrażeń, zwrotów, obrazów poetyckich i względnego ich ubóstwa; podawnemu w wewnętrznej treści swej jest to poezya rozlzawienia, rozmarzenia, rozmgławicenia się, wsłuchiwania się w szmery nocy księżycowej, wpatrywania się w luźnie mknące widma i cienie, które panują niepodzielnie w rozmarzonej wyobraźni poety, — a rola wyobraźni jest w tym wypadku najzupełniej bierna. Poeta właściwie nic prawie nie stwarza, on tylko bezwiednie niemal potrąca wciąż tę samą strunę, i wciąż jednostajną falą płyną melancholijne, łagodne dźwięki „Każda pieśń moja — to losów szum, To mgły z opału i blaski złota... Każda pieśń moja to nowych dum I nowych marzeń — nowa tęsknota... Więcej niż śmiechu rozsnułem łez.....“

Każda pieśń moja — to nowa tęsknota. Bo też istotnie tęsknota, akcentami bólu nieraz przetykana, jest podścieliskiem, na którem rozwijają się dumy i marzenia pieśniarza. W spokojnych chwilach jest to wędrówka wśród mgławic przestrzennych, jest to ta szczególna melodya, dobrze znana wszystkim marzycielskim naturom, łatwo dającym się upieszczać symfonii, utworzonej z szelestu liści, z migotania blasków na wodnej powierzchni, z różowego pyłu, rozsiewanego w powietrzu łuną zachodu. I nawet gdy poeta usiłuje wyjść z tego stanu kontemplacyjnego, gdy próbuje uzewnętrznić jakieś zjawiska lub uprzedmiotowić świat obcej duszy, wszystko mu się zamienia w mgłę taką. Bohater poematu: „Pieśń,“ gdy jest jeszcze dzieckiem, gra „na strunach swojej białej duszy, Niby na harfie stugłosej, studźwięcznej (czy stugłosej?) O jakiejś nocy srebrnej i miesięcznej, O jakimś wielkim spokoju i głuszy...“ Podobno mgła rozmarzenia i tęsknoty otoczy go później, gdy się ujrzy w kamiennej cieśni domów miejskich, w taką samą mieniącą się, drżącą i śpiewającą mgłę przeobrażą się namiętne, palące uściski kochanki. „Szły koło niego jakieś dziwne noce I potrącały jego pierś tułaczą W one bezmroczne księżycowe noce, Które rosami i gwiazdami płaczą. I czuł na sobie długich włosów sploty, I czuł na sobie oddech żarem tchnący, I czuł utkwiony w siebie wzrok palący....“ Później marzyciel dla bóstwa swego, swej kochanki pieśni, wzniesie swiątynię na brzegu morza, które do wtóru słać mu będzie swe śpiewy. W świątyni tej „na ołtarzach były dziwne moce, Stały tam jakieś archanielskie twarze, Stały tam jakieś księżycowe noce; Rosą srebrzyły się szare wieczory, Łuną czerwoną płonęły zachody, Szumiały wielkie i błąkitne wody, Szumiały stare niebotyczne bory, I srebrne zorze chodziły po kwiatach, Jak aniołowie w promienistych szatach.“

Jeżeli kołysząca poetę fala zadumań niosła go zawsze w nieskończone jakieś i nieokreślone dale, niezawsze początek brała w tej fantastycznej rajskiej przestrzeni, o której słyszeliśmy przed chwilą. „Za moją chatą, za chatyną — pisał poeta w jednym z wcześniejszych swych zbiorków — Błękitne kwiaty kwitną, Błękitne rzeki płyną, Hej, płyną w dal błękitną! Pszeniczne stoją łany, Zielone lasy stoją, — Jest jakiś świat kochany, Tam za tą chatą moją.“ Pogodny krajobraz wiejski — to pierwotny materyał wrażeniowy śpiewaka, to pierwotna osnowa jego „wiosennych dum. „Tu moje pierwsze budziły się pieśni W słonecznych blaskach wśród wiosennej krasy! Pieśniom wtórzyli trubadurzy leśni, Pieśniom wtórzyły zadumane lasy, I sny schodziły gdzieś z niebios oddali, Jako na skrzydłach aniołowie biali.“ Na lutni Słońskiego raz po raz nuta wspomnień dziecięcych, jako pogłos się odzywa, potęgując tęsknotę i żal, któremi poeta wciąż karmi swe serce. Niekiedy z piersi wyrywa się wprost bolesny krzyk, jakby z za kraty więziennej „Z jasnych błękitów słońce mnie woła, Z jasnych błękitów srebrzyste chmury Wołają w błękit i ciszę... A tutaj mury dokoła, A tutaj szare mroki dokoła...“ Najobszerniejszy poemat Słońskiego: „Do Boga“ cały jest osnuty na przeciwieństwie pomiędzy spokojem i ciepłem świata sielskiego a duchową rozterką, poczuciem osamotnienia i bezcelowości życia wśród obojętnej ciżby ludzkiej, wśród sztywnych i zimnych olbrzymów kamiennych. *Tam* na tle światłem oblanych rozłogów, zasłuchane w gwar morza kłosów pszenicznych, „w perkalikowej wzorzystej sukience Bieda z niedolą wzięły się za ręce, I idą drogą przez łany, przez sioła Do drewnianego starego kościoła.“ *Tu* tylko świadomość własnej nicości i okropny lęk przed próżnią grobową. A jeżeli poeta wreszcie znajduje Boga, to w nawiązaniu nici między Twórcą a stworzeniem, to w zrozumieniu jedności wszelkich zjawisk bytu, — to w chwili, gdy czuje żywe tchnienie boże w szepcie każdej trawy, w drganiu każdego blasku, w tem wszystkiem, co zawsze duszę jego w czarodziejskie śnienie wprawiało... „I zdało mi się, żem wszedł między duchy, I że przez jakieś zaklęcia i czary Odbiegłem ciałem i duszą od ziemi. I zdało mi się, że ten las, ta łąka, To księżycowych blasków wielkie morze, To echo, które po gaju się błąka, Ten szum, co idzie z łąki po ugorze, I wszystko... wszystko dokoła — to jestem Ja, — że jest jedna moc i jedna dusza, Moc, która idzie z najcichszym szelestem Więdnącej trawy, gdy ją wiatr porusza, — A jest największą mocą, niepodzielną, Choć rozdzieloną na istnień miliony, I jest bezkresną, i jest nieśmiertelną.... Oto przed tobą padam, wielki Boże! Niegodnym ciebie jest — jam proch i glina... Nosiłem w sobie twoją wielkość, Panie, Nie wierząc w twoje ze mną obcowanie...“

Była więc taka chwila, że rozmarzenie poety nabrało filozoficznej głębi, że stało się uczuciem nieskończoności. Należy jednak wyznać, iż tego rodzaju poezya, jak Słońskiego, ukrywa w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Ciągłe tęsknoty i poświaty księżycowe, nieustające gwary i pomruki wytwarzają naogół melodyę dosyć bezbarwną i monotonną. Niema w poezyi tej zmieniających się widoków, niema wzorzystego kobierca świeżych obrazów. Poeta operuje przeważnie materyałem, że tak powiem, dźwiękowym; ale w muzyce tej niepodobna wyodrębnić poszczególnych części, zdać sobie sprawy ze znaczenia frazesu pojedynczego (znaczenia myślowego czy wrażeniowego), ze stosunku jednej jakiejś części do następnej. Jeżeli poeta pisze mgłami, to mgły te zlewają się w jednostajnie szarą, bezkształtną, mżącą oponę. Nie jest to nieskończona melodya, to wprost niekiedy uciążliwe powtarzanie tego samego dźwięku. Pomieniony brak zróżnicowania sprawdzi się zarówno w materyale poetyckim, jak w kolorycie, w pomysłach i urzeczywistnieniu ich w całości architektonicznej. Poczynając od tautologij rymowych („króle“ i „bóle wciąż się u niego w purpurach przechadzają), prześladować nas będą przez cały ciąg poematów wszelkie możliwe i niemożliwe odmianki ulubionego przez poetę zwrotu retorycznego—powtarzania: *I ta noc* srebrna, *ta noc* księżycowa... *A na tej fali, na tej* szumnej *fali*... Ciebe *tęsknoty*, serdeczne *tęsknoty*... I był już stary, był już bardzo stary...

Większa giętkość wyobraźni z pewnością dałaby możność autorowi nieuciekania się do tak naiwnych środków wzruszenia duszy słuchacza i wpłynęłaby mogła na większe urozmaicenie toku i większą barwistość tkaniny poetyckiej. Ale nawet w tym wypadku nie wiemy, czy z niewielu stosunkowo tonów, będących w rozporządzeniu poety, można wysnuwać coraz to nowe pomysły i czy starczyłyby one na wypełnienie osnowy obszerniejszych utworów. Rozmarzenie i roztęsknienie poety, nieprzywiązane do pewnych realnych wydarzeń lub do określonych w swej postaci i pobudkach przełomów wewnętrznych, to jakby wycieczka w dzień letni łódką wśród szuwarów cichej jakiejś wody. Rzucamy wiosło, kładziemy się na wznak... I oto świadomość się nasza kurczy, stajemy się naprawdę jakby cząstką oddychającej w słońcu przyrody. Tylko lekkie obłoczki przesuwają się nad nami, jak cienie białe, tylko ucho nasze pieści się szelestem trzcin. Mija godzina jedna, druga. Myśli nasze poszybowały daleko. Budzimy się... Oto jesteśmy przy tej samej kępce i o swych pod-

niebnych łotach niewiele opowiedzieć byśmy mogli. Nie byliśmy odkrywcami i zdobywcami, daliśmy się biernie unosić prądowi odczuwań. Ponieważ jednak w takim stanie wyzbywamy się określonego poczucia własnej istoty, ponieważ oddajemy się na wolę fali, oddalającej nas od rzeczy otaczających, i wszelkie odgłosy realnego świata dochodzą nas zgłuszone, jakby z niezmiernego oddalenia („przez jakieś zaklęcia i czary odbiegłem ciałem i duszą od ziemi“) — możemy uledz szczególnego rodzaju złudzeniu: zapominając, że twórczość musi być *czynną*, że nie jest biernem wchłanianiem głosów i blasków, gotowiśmy sądzić, że w nieskończoności płyniemy, że mkniemy po nadgwiezdnych szlakach, że podpatrujemy tajemnice bytu i że wyzbywamy się ciężaru cielesnego, jednym skokiem przesadziliśmy otchłań, ziejącą pomiędzy światem zjawisk a światem prabytów platońskich. Tego też złudzenia doświadcza czasem nasz poeta, będąc przekonanym, iż wraca ze szczytów, kędy szedł „nieskończoności patrzeć w oczy.“ Dumny z osamotnienia swego, pogardliwie spogląda na „tłum głuchy i ślepy,“ na „ludzi bez serca, a *pełnych rozumu*,“ i wyniośle odpędza ich od przybytku poezyi. „Precz! precz! Wy worki pełne krwi, bez duszy, Pełne *rozumu i mięsa*...“

Mówiliśmy już, że pieśń Słońskiego nie jest rozwijającą się melodyą, lecz przeważnie wyciąganiem wciąż tej samej nuty. Oto bohater poematu „Pieśń“ dziecięciem jeszcze poznał przewrotność ludzką: „Gdy był już blizki Wymarzonego swego ideału (jakiego?), To mu zeń szaty zdzierano pomału.“ Wobec tego naturalnie: „Idą tęsknoty, bezmierne tęsknoty... Ogromnych tęsknot płynie szumna fala.“ Skończyło się to, poszedł do miasta, tu znów od pól—idą „ciche tęsknoty, serdeczne tęsknoty.“ Do świątyni, wzniesionej na brzegu morza, kędy „ogromną falą leją się tęsknoty,“ wdarł się motłoch, łaknie pieśni. „Zrazu to były jakieś mistyczne i mdlejące łkania... *A potem* przyszła haftowana złotem Spokojność wielka i cisza, a potem łzy brylantowym polały się deszczem... *A potem* przyszła spokojność i cisza, Jakieś błękitne śnienie o aniołach...“ Więc co było *przedtem*, a co *potem?* I gdzie tu rozwój i ruch?

Otwórzmy inny poemat, „Mary.“ Mary przychodzą nie wiadomo z jakiego powodu do pana, który „był stary, był już bardzo stary.“ Okuł swą duszę w łańcuchy, a przecież nawiedzają go widma minionego Bólu, Żalu, Tęsknoty itp. współwędrowców po szlakach życia... Po komnatach starego domostwa „pełzły wspomnienia o minionych latach.“ Opowiedziawszy o tem szeroko, poeta naraz przypomina sobie: „*Jednak* nie była to pustka — w komnatach, Nieraz płonęły światła, słychać było kroki i szeptów echa... Coś tam żyło — Może jedynie wspomnienie o latach minionych... Widziano światła fosforyczne, drżące, Słyszano głosy pełne przerażenia...“ Gdzieindziej „w blaskach słońca cały krwawy Szedł ból do niego“ (do bohatera poematu), a po chwili znowu „wówczas ku niemu w słońcu przyszedł zdala Ból... i palił, i palił...“ Wogóle podobna nieokreśloność osnowy i wahadłowy ruch charakteryzuje wszystkie większe utwory Słońskiego.

A. Drogoszewski.

Aleksander Gierymski.

(Dokończenie).

Każdy talent musi się stopniowo formować i rozwijać, a talent artysty wiecznie szuka i wiecznie doznaje zawodu. To też i Gierymski szukał i dochodził przez całe życie. Bił głową o mur, który nam ostateczne cele sztuki wiecznie zasłania. Zabawnem więc jest artystę, mającego za sobą kilka lat pracy, osądzać podług obrazu, malowanego w latach młodzieńczych, jakim jest naprzykład „W altanie.“ Jego wnętrza rozmaitych kościołów, malowane w epoce późniejszej, są wprost arcydziełami, a twórczość ostatniego okresu życia, wbrew zdaniom niektórych krytyków, czerpiących swe natchnienie z wiadomostki (zresztą błędnej), że Gierymski umarł obłąkany, stanowi dowód wymowny, że talent jego nie obniżył się przy końcu życia, że nawet przeciwnie — spotężniał. Obrazy jego z ostatnich czasów nabrały jeszcze większej siły, „plenery“ włoskie są wprost przesycone światłem, czego nie można powiedzieć o niektórych chwalonych pracach z epoki warszawskiej, które, niestety, czas zmienił znacznie w tonie.

Zarzuty zbytniej drobiazgowości wykończenia są wprost dziwne w ustach poważniejszych krytyków. Sztuka nie zna recepty, jak trzeba obrazy malować. Jeden artysta może „wypiłować“ na portrecie wszystkie włoski wąsów, drugi je oznaczy jednym zamachem pędzla, mimo to obie prace mogą być dziełami znakomitemi, albo obie zupełnemi lichotami. Sposób taki lub owaki może się *osobiście* podobać lub nie podobać panu X lub Y, ale nie może decydować o obniżaniu się talentu artysty. Przeciwnie, studya Gierymskiego z ostatniej doby, szczególnie mniejsze, z budynkami skąpanymi w słońcu, są wyrazem najwyższego napięcia barwnego, jakie artysta osiągnął kiedykolwiek.

Niezmiernie ciekawem było na wystawie zestawienie kilku płócien, przedstawiających ten sam motyw. Na nich można było odbudować sposób tworzenia artysty. Gierymski przedewszystkiem rzucał na płótno szkic, w którym mu jedynie chodziło o położenie ogólnych plam barwnych. O szczegółach nie było tam mowy. Następnie malował studya wyłącznie dla szczegółów. Niema wątpliwości, że w znacznej mierze posługiwał się fotografią, która mu pozwalała te szczegóły opracowywać przez dnie całe w swojej pracowni, korzystając jednocześnie z notatek barwnych, robionych z natury, a nadewszystko z niezliczonych obserwacyj.

Gierymski, malując tak często efekty, albo niezmiernie szybko przemijające, jak zapadanie zmroku wobec zapalonych latarni, albo nocne, ze sztucznem oświetleniem, nie mógł ich malować wyłącznie i wprost z natury, główny więc nacisk kłaść musiał na obserwacyę myślową. Siadał codzień przed daną kawiarnią lub stawał na jakimś rogu ulicy, wpatrywał się godzinami całemi w przedmiot, stanowiący temat jego obrazu. Następny dzień cały schodził mu w pracowni na wykonaniu w obrazie tego wszystkiego, co ubiegłego wieczoru zauważył. Zmrok zapadał, i Gierymski znów był na swym posterunku. Patrzył... patrzył... patrzył... i znów powracał do rozpoczętego płótna. W ten sposób pracował nad tą samą rzeczą przez całe miesiące, a często i rok nad nią stracił. Te oczy, które na nas tak wyraźnie patrzą z autoportretu, nie są oczami, zapowiadającemi obłęd, jak chcą niektórzy domyślni po fakcie, to raczej oczy człowieka, który przywykł patrzyć, badając, kombinując i uświadamiając sobie wszystko. Świat cały wchłaniał przez te oczy.

Umarł w połowie drogi życia. Nie zostawił kapitałów, nie był nawet obywatelem ziemskim. Życie mu przeszło na malowaniu obrazów, które kupowało kilku zaledwie ludzi, co go broniło od nędzy. Na rynku handlowym sztuki mówiono, że Gierymski dobrze swoje obrazy sprzedaje, nie myślano tylko o tem, że on nad jedną pracą siedzi dłużej, niż inny nad dwudziestoma. Ale Gierymski nigdy się nie skarżył. Zwykle mu to wystarczało, co miał. Nie był zresztą bardzo wybredny: stara kanapa w kącie pracowni, bez prześcieradła, służyła mu za łóżko, i tylko kołdra i poduszka zdradzały jej przeznaczenie. Na ziemi walizka, z której z pomiędzy mnóstwa fotografij wyglądało kilka sztuk bielizny; na środku pokoju stalugi, farby, paleta: oto całe niemal umeblowanie pokoju, który był zarazem pracownią i mieszkaniem prywatnem wielkiego artysty. Na ulicy stare palto z wytartym kołnierzem, potrzebę odżywiania się zaspakajała w zupełności niewykwintna restauracya.

Poco takiemu człowiekowi miałoby się płacić za pracę w odpowiednim stosunku do włożonego talentu i czasu? A cóżby on z temi pieniędzmi robił, gdyby mu, zamiast kilkuset rubli, wypłacono kilkanaście tysięcy, jak się tej miary dzieła cenią?

Nie zapracował też sobie na wygody i nie zapewnił spokojnego kąta po śmierci.

Wacław Szymanowski ze słusznem oburzeniem mówił w *Kuryerze Warszawskim*, że ciało Gierymskiego złożone zostało *czasowo* w katakumbach (w Rzymie), gdzie trzeba wnosić za nie miesięczną opłatę, której wysokość zwiększa się z każdym miesiącem. Innemi słowy: gdyby którego miesiąca opłata nie została uiszczona, to ciało z katakumb poszłoby do wspólnego dołu. Podobno nawet nazwiska niema zaznaczonego na trumnie.

Niedawno chowaliśmy Siemiradzkiego. Była to chwila hołdu, oddanego artyście przez cały naród. Zwłoki jego znajdą się na Skałce w grobach mężów zasłużonych. Hołd słuszny, bo każdy artysta, który swe imię zapisał zaszczytnie w dziejach sztuki, który ją wzbogacił na korzyść i sławę swego narodu, ma prawo niewątpliwe do żywej wdzięczności współrodaków.

Czemuż jednak taka wyjątkowość?!

Czemu dla jednego spokojny grób familijny na Powązkach nie jest dość zaszczytnem miejscem spoczynku, a dlaczego szczątkom drugiego artysty, potężniejszego i głębsze zostawiającego po sobie ślady w sztuce polskiej, pozwalamy leżeć gdzieś na obczyźnie, narażonym lada chwila na wyrzucenie i zasypanie bezimienne w dole ogólnym?

Pochód żałobny jednego był hołdem pojedynczych warstw i całego społeczeństwa, zarówno na wsi, jak w Warszawie, a potem w Krakowie; drugiego garstka rodaków przeniosła ze szpitala na cmentarz i zabezpieczyła czasowo, wedle możności, przypuszczając słusznie, że ogół powinien się zainteresować dalszym ciągiem tej sprawy.

Towarzystwo Zachęty sztuk pięknych urządziło na ten cel wystawę prac zmarłego artysty. Sto z górą obrazów i wiele rysunków złożyło się na ten znakomity, choć niekompletny zbiór dzieł Gierymskiego. Jaki rezultat pieniężny dała ta wystawa, jeszcze nie wiemy, w każdym razie publiczność warszawska ani odczuła w dostatecznym stopniu swego obowiązku, ani poznała się na tej uczcie artystycznej jaką jej tak liczne zgromadzenie prac Gierymskiego powinno było zgotować: wystawa nie zwabiła tłumów i została świeżo zamknięta.

W Paryżu istnieje Panteon dla zmarłych wielkich Francuzów, istnieje też order legii honorowej dla żywych, którzyby chcieli uchodzić za wielkich. I jeden i drugi są rzeczami wielce pożądanemi w oczach ogółu, a jednak są jednostki, i to nie najmniejsze, które nie dadzą sobie przypiąć legii i zastrzegają się przeciw zajęciu po śmierci zaszczytnego miejsca w Panteonie.

Gierymski, gdyby był Francuzem, należałby, zdaje się, do tych ostatnich. Dlatego nie głosujemy za chowaniem go na Skałce, ale za tem tylko, żeby otrzymał miejsce

spokojne i nagrobek trwały, jakie mu się chyba należą. *)

Sierp.

O prawdę.

W nr. 41 ukazała się korespondencya „Z nad Warty i Odry," w której wypowiedziane są poglądy, poparte szeregiem twierdzeń niezgodnych z prawdą.

Zaczynam od rzeczy najbardziej ogólnej: Twierdzenie autora, że „warstwa robotnicza jest stosunkowo nieliczną i słabą w Księstwie Poznańskiem," musi zdumiewać ludzi obeznanych ze stanem kwestyi. Statystyka bowiem poucza, że w r. 1895 liczono tu 419,747 robotników, więc zastęp bardzo poważny.

Następnie co do życia politycznego tej sfery: Nieprawdą jest, co autor pisze o „germanizatorskich wpływach związków fachowych." Nigdy one nie myślały o germanizowaniu, czego dowodem właśnie to, że ponoszą znaczne wydatki na pisma polskie, prócz bowiem *Oświaty* wydają także *Górnika*, a trudno będzie korespondentowi wynaleźć w tych pismach choćby jedno zdanie trącące hakatyzmem. Zresztą te związki rozpowszechniały broszurę, z której przytoczę ustęp taki: „Od lat przeszło dwudziestu krok za krokiem rząd pruski ruguje język polski ze szkół poznańskich, usuwa żywioł polski z urzędów, z życia publicznego, obraca stumilionowe fundusze na „kolonizacyę," tj. na zniemczenie naszych okolic, stara się gwałtem przeflancować Niemców, chłopów i rzemieślników, na polską ziemię, a wszystko to z zawziętością i wytrwałością godną lepszej sprawy. — Czego w ten sposób chcą dopiąć? Rzecz jasna: język polski, narodowość polska mają zaginąć w Prusiech, trzy miliony polskiego ludu mają zapomnieć, że się urodziły Polakami i przerobić się na Niemców! Dzieci mają zapomnieć języka swych ojców i matek, a wnuki — zapomnieć, że dziadowie ich kiedyś na polskiej mieszkali ziemi!— Włosy na głowie powstają, gdy pomyśleć o takich zakusach, a pięść się zaciska z rozpaczy, że podobne rzeczy dzieją się na świecie w biały dzień, na widoku całej Europy, całego świata cywilizowanego od lat dziesiątków, i nikt z możnych się nie odezwie, nikt germanizatorskiej przemocy nie odeprze; hakatyści urągają tylko naszej niemocy i prowadzą dalej swe dzieło wykorzenienia polszczyzny, jakby najzacniejszą a najprawszą rzecz w świecie czynili. Więc zbrodnią jest mówić swym językiem, który się z mlekiem matki wessało, więc przestępstwem jest należeć do narodu, w którym się na świat przyszło? Zaprawdę, czas wielki, aby lud polski otrząsnął się z martwoty, aby oburzeniu swemu dał wyraz, aby powstał do walki przeciw germanizacyi. W jaki sposób walkę tę prowadzić, jaką drogą najskuteczniej osiągnąć obronę polskiej narodowości — oto pytania, nad któremi warto się poważnie zastanowić."

Taką broszurę rozpowszechniały w r. 1900, powtarzam, związki fachowe, które autor korespondencyi posądza o „wpływy germanizatorskie." Autorem zaś tej broszury jest — pani Róża Luxemburg, wydawcą — Józef Gogowski w Poznaniu. Oboje też za tę broszurę odpokutowali, gdyż poczuł się oburzonym w swej hakatystycznej godności pan Bitter i sąd skazał winowajców. O tem korespondent „Z nad Warty i Odry" zamilczał jakoś. Dlaczego? Oczywiście gdyby przytoczył te fakty, nie mógłby posądzać osób wymienionych o hakatyzm. Więc nie znał faktów? Tem gorzej dla niego, jako publicysty. Woli natomiast twierdzić, jakoby pan Gogowski miał się wyrazić na zebraniu publicznem: „Polacy są skazani na wymarcie." Dopóki pan „Pośrednik" nie przytoczy źródła i dowodów, uważać to musimy za lekkomyślne kolportowanie plotek.

Co do Śląska: Przed wyborami 1898 r. agitowali tam z narażeniem się i poświęceniem — pani doktór Róża Luxemburg i dr. Winter, a zarówno prasa hakatystyczna, jak germanizatorskie centrum katolickie rzucali codzień gromy oburzenia na tych ludzi, o *Gazecie Robotniczej* zaś i jej poplecznikach nikt wówczas nie słyszał. Tę pracę, rozpoczętą w r. 1898, kontynuują dotąd wymienieni: doktór Winter jest kierownikiem „sekretaryatu robotniczego" i prowadzi zręcznie co rok setki spraw w obronie robotników polskich przeciw niemieckim magnatom przemysłowym. W ten sposób cała gadanina o „socyal-hakatyzmie" sprowadza się do plotek lekkomyślnie powtarzanych.

Przyczyną całej tej afery jest to: istnieją dwa stronnictwa, które różnią się nie tem, że jedno jest hakatystyczne, drugie poczciwie polskie, lecz tem, że odmiennie zapatrują się na taktykę i najbliższe cele polityczne; organem jednego jest *Gazeta Ludowa* (która bynajmniej nie została zawieszoną, jak twierdzi korespondent, lecz przeciwnie, *wychodzi bardzo regularnie* i daje dowody życia), drugiego — *Gazeta Robotnicza*. Na czem polegają te różnice, nie tutaj miejsce wygłaszać.

Jeżeli więc autor korespondencyi oświadcza, że „sprawa robotnicza i sprawa stosunku robotników do reszty społeczeństwa weszła w Poznańskiem i na Górnym Śląsku na porządek dzienny," to cała jego korespondencya dowodzi, że bardzo słabo jeszcze sam oryentuje się w tej sprawie i powinienby powstrzymać się od gołosłownych posądzań ludzi, których działalność jest mu nieznaną, o hakatyzm i temu podobne zdrożności. Tego wymaga wprost etyka dziennikarska *).

J. Karski.

Odpowiadam z kolei na wszystkie zarzuty p. J. Karskiego.

Ponieważ mówiłem o warstwie robotniczej w Poznańskiem i na Górnym Śląsku, przeto miałem najzupełniejsze prawo powiedzieć, że w porównaniu z Górnym Śląskiem Poznańskie posiada „*stosunkowo* nieliczną i słabą" warstwę robotniczą. Kiedy bowiem Górny Śląsk należy do najbardziej przemysłowych okolic Europy, to Poznańskie jest krajem rolniczym o nader słabo rozwiniętym przemyśle fabrycznym. Naturalnem więc jest, że poznańska warstwa robotnicza w porównaniu z górnośląską jest stosunkowo nieliczna i słaba.

P. J. Karski twierdzi, że wszystko, co mówię o „germanizatorskich wpływach" niemieckich związków zawodowych, jest nieprawdą. Otóż muszę zbić po kolei wszystkie jego argumenty, mające niby obalić moje twierdzenie.

Nieprawdą jest, jakoby związki zawodowe ponosiły znaczne wydatki na pisma polskie. Pomijając ten fakt, że *Górnik*, wydawany przez związek bochumski, upadł już bardzo dawno po półtorarocznem bezowocnem istnieniu (i to upadł właśnie wskutek swego *hakatystycznego* stanowiska, o czem niżej) istniejąca zaledwie od półtora roku *Oświata* opłaca się z *wkładek* członków związków zawodowych — Polaków. Ci ostatni otrzymują licho redagowany mały dwutygodniczek zawodowy, kiedy członkowie-Niemcy, płacąc takież same składki, posiadają doskonałe pismo dla każdego fachu. Ale i ten marny dwutygodniczek został założony jedynie na skutek energicznej działalności przeciwników pani Luxemburg i p. Gogowsky'ego. Poprzednio Polakom-związkowcom *gwałtem* narzucano pismo zawodowe *niemieckie*, pomimo ich ustawicznych protestów.

Nieprawdą jest, jakoby w pismach zawodowych, wydawanych przez związki niemieckie, nie było „ani jednego zdania, trącącego hakatyzmem." Trzeba wiedzieć, że pisma zawodowe polityką się nie zajmują i są w zasadzie bezpartyjnemi. To też nie mają one częstej sposobności do wystąpień hakatystycznych. A jednak *Górnik* potrafił pokazać pazury hakasty, idąc za przykładem swej siostrzycy niemieckiej *Berg- u. Hütten Arbeiter Ztng*. Kiedy w r. 1899 zarząd górniczy w Westfalii wydał rozporządzenie, na mocy którego każdy robotnik polski w kopalniach dortmundzkich ma być wydalony za sześć miesięcy, jeżeli nie nauczy się po niemiecku, tak powyższe pismo niemieckie, jak i jego miniaturowy polski towarzysz, przyklasnęli gorąco temu rozporządzeniu, co wywołało straszne oburzenie górników-Polaków i pociągnęło za sobą upadek owego świstka polskiego.

Ale nie o to chodzi, że *Oświata* nie zawiera wycieczek hakatystycznych, których już dziś chyba nie puściliby płazem robotnicy polscy. Chodzi o *duch*, panujący w tych związkach. Otóż obrady na ich posiedzeniach prowadzone są po niemiecku, agitatorowie zawodowi z Hamburga, Bochum, Berlina itd. przemawiają po niemiecku, a wszelka myśl o polskich sekcyach tych związków zwalczana jest bezwzględnie przez pp. Winterów i im podobnych, otwartych już socyal-hakatystów.

Broszura, której wyjątek przytacza p. J. Karski, jest od początku do końca przesiąknięta obłudą, o czem chyba najlepiej świadczy nazwisko jej autorki. Tendencya tej broszurki polega na odrywaniu, za pomocą frazesów narodowościowych, robotników polskich od organizacyi polskiej i na topieniu ich w organizacyi niemieckiej. Mamy tu więc do czynienia ze zwykłym podstępem, używanym, zwłaszcza przed wyborami, przez różne stronnictwa niemieckie, jak np. centrowców, którzy też przecie wydają pisma i odezwy w języku polskim. Cała działalność pp. Luxemburg, Gogowskych, Winterów itd. ma właśnie ten charakter, abstrahując naturalnie od tendencyj ogólnych partyi, do której należą.

Warto nadmienić, że nawet władze pruskie niebardzo chyba wzięły na seryo „obronę" narodowości p. R. Luxemburg, skoro skazały ją na zapłacenie 100 m. kary, gdy redaktorowie *Gazety Robotniczej* otrzymują po 9 miesięcy, po roku i nawet po dwa lata więzienia.

P. J. Karski oburza się na mnie za przytoczenie powiedzenia p. Gogowsky'ego, że „Polacy są skazani na wymarcie" i żąda dowodów. Przytaczam więc pamiętne słowa p. Gogowsky'ego, wypowiedziane przezeń d. 15 sierpnia 1901 r. na zgromadzeniu publicznem w Poznaniu, dosłownie: „My nie mamy obowiązku popierać interesów narodu, który może wymiera (einer Nation, die vielleicht in Sterben begriffen ist)" *). I taki pan ma bezczelność starać się o mandat z Poznania! Czyż to nie jest prowokacyjny hakatyzm?! Jakiż więc duch może panować w związkach zawodowych, kierowanych przez takiego człowieka?

Co do Śląska, to wprost dziwię się, jak mi p. Karski może coś zarzucić, objawiając najzupełniejszą nieświadomość tego, co się tam działo i dzieje.

Nieprawdą więc jest, jakoby przed wyborami agitowali tam „z narażeniem się i poświęceniem" jedynie pp. Luxemburg i dr. Winter. Ten ostatni agitował za sobą i Niemcem Sachsem, postawionym w okręgu bytomskim pomimo woli Polaków. Co do p. Luxemburg, to ta agitowała w okręgu Wielkie—Strzelce—Koźle za wyrzuconym z organizacyi polskiej („za intrygi i rozsiewanie oszczerstw") niejakim Wolnym, zresztą bezowocnie. Natomiast ci, o których p. Karski nie słyszał, wydali specyalną broszurę przedwyborczą, występowali na zgromadzeniach publicznych i wogóle prowadzili nadzwyczaj intensywną agitacyę wyborczą. Kandydat Morawski od Zielonych Świąt aż do dnia wyborów nie opuszczał Gór-

*) Już po złożeniu opóźnionego trochę artykułu pisma codzienne doniosły, że po zamknięciu wystawy Gierymskiego dochód z tego źródła wyniósł blizko 700 rubli. Suma ta, zaokrąglona przez osoby prywatne do tysiąca rb., przeznaczona została na kupno gruntu wieczystego na cmentarzu rzymskim i wzniesienie wielkiemu artyście pomnika, który wykonany być ma przez Antoniego Madeyskiego. (*Przyp. Red.*).

*) Prócz odpowiedzi na artykuł „Z nad Warty i Odry" p. J. Karski wystąpił jeszcze w obronie p. Róży Luxemburg z powodu notatki „Furya" w nr. 39 *Prawdy*, lecz tej obrony nie mogliśmy pomieścić z przyczyny jej formy. *Red.*

*) Sprawozdanie z zebrania poznańskiego w *Gazecie Robotniczej* z sierpnia 1901 r.

nego Śląska, a obok niego działali pp. Dylong, Kandziora, Borys, Jeziorowski i wielu innych.

Dr. Winter jest typowym socyal-hakatystą. Zjawiwszy się na Górnym Śląsku w r. 1897, odrazu wystąpił w obronie „łagodnej“ germanizacyi. Wydawał następnie odezwy, w których tłomaczył robotnikom, że pisze dla nich po polsku, bo *obecnie* nie rozumieją jeszcze dobrze po niemiecku. Obok p. Luxemburg jest on najzajadlejszym wrogiem odrębności organizacyi polskiej, a w gruncie rzeczy marnym karyerowiczem, koniecznie chcącym otrzymać mandat poselski z rąk ludu, którego języka nie posiada.

Nieprawdą jest, jakoby istniały jakieś dwa „stronnictwa.“ Istnieją jedynie ludzie o rozbudzonej już świadomości narodowej i godności ludzkiej, która każe im żądać poszanowania ich praw. A z drugiej strony są jednostki wśród Niemców, chcące zrobić karyerę na ludzie polskim (np. Winter i Gogowsky), a opierające się wszelkim dążeniom żywiołu polskiego do odrębności. Jednostkom tym pomagają albo intryganci (ze względów osobistych), jak p. Luxemburg, albo napół zgermanizowani robotnicy.

Co do *Gazety Ludowej*, to cała prasa poznańska ogłosiła jej zawieszenie, a ja mogę p. J. Karskiego zapewnić, że jeśli jeszcze nie została zawieszona, to będzie w bardzo bliskiej przyszłości. Jest to bowiem efemeryda „kongresowa,“ nie pierwsza, a zapewne i nie ostatnia, jakie puszczają w świat p. Róża Luxemburg i szczupła garstka uwielbiających ją mohikanów.

Sądzę, że to wystarczy czytelnikom *Prawdy*, panu zaś J. Karskiemu muszę zakomunikować, że każdego członka skrajnej lewicy niemieckiej, który nie podziela stanowiska Liebknechta i Ledebura względem Polaków, uważam za socyal-hakatystę.

Pośrednik.

NA MARGINESIE.

Zaziębienie i hartowanie. Na tegorocznem zebraniu Towarzystwa przyrodniczego w Karlsbadzie dr. Hecker dał ciekawe sprawozdanie z obserwacyj swoich nad tak zwanem „hartowaniem“ dzieci. Z sześćdziesięciorga badanych przez niego, 25 hartowano już w pierwszym roku życia, 7 po pierwszym roku, a do 28 stosowano tę metodę bardzo niesystematycznie. W hartowaniu rozróżnia on dwa stopnie: łagodne (codzienne obmywanie, chłodna kąpiel, albo wycieranie) i silne (zimne oblewanie lub używanie zimnej wody więcej niż raz na dzień.)

1) Wśród łagodnie hartowanych skłonność do chorób z zaziębienia wynosiła 38%, niehartowanych wcale — 31%, hartowanych silnie — 62%.

2) Źle wpływającem na system nerwowy okazało się hartowanie łagodne w 4 wypadkach, dobrze wpływającem — w 3; silne hartowanie dało 4 wypadki dobre, a 8 złych.

3) Na usposobienie psychiczne z 15 dzieci starszych niż 2 lata oddziałało niekorzystnie na 7, które zdradzały nienormalną wrażliwość i nerwowość, gdy przeciwnie wśród niehartowanych nienormalności zauważyć nie było można.

4) Co się tyczy ogólnego stanu zdrowia i ogólnej skłonności do chorób, to z pośród dzieci niehartowanych zupełnie, jak i łagodnie hartowanych w 1-ym roku życia, 53% odznaczało się zupełnem zdrowiem, gdy zaś z pośród silnie hartowanych tylko 19% rozwijało się dobrze, a 66% przechodziło ciężkie choroby i pozostało słabowitemi.

Dalszemi następstwami zbytniego hartowania były: niedokrwistość, neurastenia, brak apetytu, krzyki po nocach, wrażliwość psychiczna, zmiana charakteru itp.

KRONIKA.

Z uroczystości jubileuszowych. Dalszy ciąg obchodu jubileuszowego Maryi Konopnickiej odbył się we Lwowie dn. 26 października. Znakomita poetka przybyła w przeddzień wieczorem do stolicy Galicyi, witana entuzyastycznie na dworcu przez olbrzymie tłumy publiczności. Uroczystość główna nastąpiła nazajutrz o 11-ej rano w sali teatru. Szereg przemówień rozpoczął prezydent Małachowski, witając jubilatkę w imieniu miasta. Wręczono jej dalej adresy od uniwersytetu lwowskiego, politechniki i akademii dublańskiej. W imieniu poetów przemówił w pełnych zapału i natchnienia wyrazach Jan Kasprowicz. Towarzystwo dziennikarzy polskich oraz koła literacko-artystyczne wręczyły jubilatce dyplomy na członka honorowego. W imieniu pierwszego składał hołd wielkiej poetce Adam Krechowiecki, w imieniu „koła“ — p. Kazimierz Skarzyński. Zjawiły się znów liczne delegacye od stowarzyszeń i instytucyj kulturalnych Galicyi wschodniej; od młodzieży, od kółek włościańskich, od Serbów, Chorwatów, Bułgarów i Czechów. Po wszystkich przemówieniach, na które w serdecznych słowach dziękowała wzruszona jubiletka, odbył się koncert, przeplatany deklamacyą utworów Konopnickiej, a zakończony uroczystym polonezem Żeleńskiego. Wieczorem koło literacko-artystyczne urządziło na cześć jubiletki wspaniały raut, na którym deklamowała między innymi Helena Modrzejewska.

Wiadomości społeczne. Zatwierdzona została ustawa kasy pogrzebowej w Zgierzu.

— Gubernator kijowski nakazał wprowadzić 10-godzinny dzień roboczy we wszystkich zakładach, niepodlegających inspekcyi fabrycznej.

— W *Wiest. odes. gradonacz.* ogłoszony został rozkaz, wzbraniający rozpuszczania po mieście fałszywych pogłosek o przebiegu i rozmiarach epidemii, oraz świadomie kłamliwych wiadomości o przedsiębranych przez władzę administracyjną środkach sanitarno zapobiegawczych. Za wykroczenie przeciw temu, jak również za opór przeciw rozporządzeniom władzy winni podlegają karze do 500 rb. lub do 3 miesięcy aresztu.

— Walne zebranie Polaków berlińskich postanowiło powołać do życia stowarzyszenie wszystkich Polaków z Berlina i okolicy dla spraw kościelnych. Uchwalono żądać: powiększenia liczby księży polskich w Berlinie; polskich kazań we wszystkich kościołach i kaplicach katolickich; polskiego języka przy chrztach i ślubach.

— D. 25 b. m. odbył się akt uroczysty otworzenia nowozbudowanego w Zielonce (przystanek kolei Warszawsko-Petersburskiej) domu schronienia dla steranych wiekiem i pracą nauczycielek. W pensyonacie tym znajdują się obecnie 34 nauczycielki w wieku lat 64—92.

— Z Petersburga donoszą, iż osobna komisya obraduje nad sprawą ułatwienia przyjazdu pragnącym powrócić do ojczyzny osobom niezamożnym.

— *Gazeta Polska* donosi, że w niektórych powiatach Galicyi wschodniej wybuchły ponownie bezrobocia rolne. Kopanie kartofli, mimo spóźnionej pory, prawie jeszcze nie rozpoczęte; w niektórych miejscowościach czekają na ręce robocze kilkusetmorgowe pola.

— Towarzystwo pomocy dla kobiet, kształcących się w kierunku rolniczo-gospodarczym, wystąpiło do ministeryum rolnictwa z projektem założenia wyższej żeńskiej szkoły rolniczo-gospodarczej.

— Przy warsz Tow. dobroczynności, Krakowskie Przedm. nr. 62, otworzone zostało ambulatoryum bezpłatne dla ludności ubogiej.

Z Poznańskiego. D. 6 listopada odbędzie się walne zebranie akcyonaryuszów Banku ziemskiego w Poznaniu, na którem ma być wniesiony projekt podwyższenia kapitału zakładowego o 1 milion marek, oraz zmiany paragrafu 5 ustawy w sposób następujący: Celem przedsiębiorstwa jest nabywanie, sprzedawanie, parcelowanie i dzierżawienie nieruchomości ziemskich, oraz pośredniczenie w tych interesach. Dozwolone są wszelkie czynności bankowe i kredytowe, zmierzające do ułatwienia powyższych zadań lub do pomnożenia funduszów obrotowych Banku, a pomiędzy innemi przyjmowanie wkładów na lokacyę procentową. Wyłączone zaś są zakupno i sprzedaż papierów giełdowych w celach spekulacyi, podpisywanie weksli bez odebrania waluty i udzielanie kredytu bez pewności realnej.

— Redaktor odpowiedzialny *Górnoślązaku* p. Hofman, podczas przejazdu z Katowic do więzienia w Bytomiu, skuty został przez żandarmów kajdanami z innym więźniem, zwyczajnym zbrodniarzem.

— Na zebraniu przedwyborczem do rady miejskiej w Poznaniu stwierdzono, że 900 Polaków zwolniono od podatku 4 marek dlatego, ażeby ich pozbawić prawa wyborczego. Siedemdziesięciu z uwolnionych zgłosiło się dobrowolnie o zapisanie na listę opodatkowanych. Zawezwano ich przed komisyę, badano o powody i starano się odwieść od zamiaru, ale bezskutecznie. Gdyby wszyscy zwolnieni opłacili podatek, w radzie miejskiej z jednej tylko klasy 3 zasiadałoby 20 Polaków.

— *Dz. śląski* pisze: Przed sądem w Hulczynie stawała jako świadek wdowa Filipowa z Długiejwsi. Zeznała ona na wstępie, że nie może się posługiwać mową niemiecką przy składaniu świadectwa, gdyż nie włada dostatecznie tym językiem. Zastępca prokuratora, burmistrz Woytych z Hulczyna, orzekł jednakże, iż zna ona język niemiecki, wskutek czego sędzia Bömper skazał wdowę za „niewłaściwe zachowanie się przed sądem“ na 24 godziny niezwłocznego aresztu. Wdowa Filipowa jest matką pięciorga dzieci i znana w okolicy jako uczciwa i sumienna; sąd jednak powziął przekonanie, że nie chciała ona zeznawać po niemiecku tylko ze wstrętu do tego języka.

Szkoły i wychowanie. D. 21 z. m. otworzono we Lwowie szkołę nauk politycznych.

Wiadomości naukowe. W Muzem przemysłu i handlu wygłoszona będzie w dni świąteczne serya odczytów popularnych. Rozpoczął ją p. E. Jankowski d. 26 z. m. prelekcyą o „zadrzewianiu kraju.“ W tejże sali p. Z. Woycicki rozpoczął d 20 b. m. seryę odczytów z dziedziny biologii pracą p. t.: „O zmienności roślin w świetle badań współczesnych.“

— Bar. N. Rotschild ofiarował milion koron na potrzeby polikliniki miejskiej w Wiedniu.

— W Berlinie odbyła się międzynarodowa konferencya w celu obmyślenia środków walki z gruźlicą; nadto urządzono muzeum, podzielone na 9 działów, w którem pomieszczono wszystko, cokolwiek ma związek z tą chorobą.

Ze sztuki. Na konkursie, ogłoszonym przez Muzeum rzemiosł i sztuki stosowanej na projekt okucia okiennego w stylu swojskim, przyznano nagrody pierwszą i drugą p. Stanisławowi Brukalskiemu.

— „Bitwa pod Grunwaldem,“ dotychczasowa własność spadkobierców Karola Rozenbluma, który ten obraz nabył od Matejki za 40,000 rb., została w tych dniach kupiona za 25,000 rb. przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. Na sumę zakupu złożyły się wkłady osób, które przy otworzeniu gmachu Sztuk Pięknych zobowiązały się przez lat pięć wnosić corocznie pewną kwotę na powiększenie zbiorów Towarzystwa.

— Dn. 25 z. m. dokonano w Kaliszu uroczystego otwarcia gmachu własnego miejscowego Towarzystwa muzycznego.

Literatura i prasa. Wiec księgarzy austro-węgierskich, który zebrał się na dwudniowe obrady w Wiedniu, uchwalił wystosować do obu rządów petycye, aby przy odnawianiu traktatów handlowych starały się o zupełne zniesienie cła od książek polskich, albo przynajmniej, aby cło to nie było wyższe od dawniejszego.

Ruch kobiecy. Minister oświaty w Niemczech pozwolił na dalsze studya tym studentkom z Rosyi, które dopuszczone już zostały do uniwersytetu berlińskiego przed wydaniem zakazu.

— Ministeryum oświaty zamierza wprowadzić do najwyższych klas gimnazyów żeńskich wykłady hygieny i powierzyć je kobietom lekarkom.

— *Nowości* donoszą, iż senat postanowił, że szlachcianki dziedziczne, chociażby zaślubiły nieszlachciców, lecz przed ślubem dziedziczyły dobra, winny być zaliczone do pierwszej kategoryi wyborczej zgromadzeń ziemskich; pełnomocnicy ich, chociażby nie byli szlachcicami, mają prawo uczestniczenia w zgromadzeniu.

— Na mocy nowych przepisów, na naukę w aptekach przyjmowane być mogą kobiety posiadające świadectwa z ukończenia instytutu, lub gimnazyum żeńskiego, oraz świadectwa ze znajomości kursu łaciny w zakresie czterech klas gimnazyum męzkiego. Kandy

datki nieposiadające patentu z powyższych zakładów naukowych, wstępując na praktykę aptekarską powinny złożyć świadectwo ze znajomości kursu czterech klas gimnazyum męzkiego (bez języka greckiego) lub świadectwo ze stopniem nauczycielki domowej — w każdym razie ze świadectwem znajomości języka łacińskiego. Dla praktykantek kończących gimnazyum lub instytut czas praktyki w aptece skrócony być może z trzech do dwóch lat.

Sprawy ekonomiczne. Na ogólną ilość 119 mil. dziesięcin ziemi, pozostającej w państwie rosyjskiem w posiadaniu prywatnem, 52 mil. obciążane są pożyczkami, które do r. 1901 wynosiły 1,663,000,000 rubli, z czego na Królestwo Polskie przypada 138,800,000 rb.

— Ministeryum rolnictwa zażądało od zarządu dóbr państwa danych o stanie należących do skarbu posiadłości ziemskich, które bez uszczerbku dla skarbu możnaby sprzedać lub oddać w dzierżawę długoletnią. Zarazem zażądano wiadomości o takich lasach prywatnych, które skutkiem swego położenia obszaru i stanu mają wpływ na opady atmosferyczne, utrzymywanie wilgoci w glebie i na zabezpieczenie rzek od wysychania. Lasy takie rząd zamierza nabywać ze względu na ich znaczenie ogólno państwowe.

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zgodziło się na projekt otworzenia w Warszawie tymczasowego przytułku dla chorych umysłowo. Koszt urządzenia schroniska poniesie kasa miejska.

— Według urzędowych danych, w Odesie od maja do 23 października było 47 przypadków dżumy. Epidemia powiększa się stopniowo, gdy bowiem na lipiec sierpień wypadło po 11 zasłabnięć, we wrześniu liczba podniosła się już do 26.

— W Chicago zawiązane zostało Towarzystwo lekarzy polskich w celu obrony zawodowej oraz wyzwolenia ludności ubogiej i ciemnej z pod wpływu znachorów, kabalarek, zamawiaczek i tym podobnych oszustów i wydrwigroszów.

— W Kijowie stwierdzono dżumę wśród zwierząt domowych, zwłaszcza trzody chlewnej.

Koleje i komunikacye. Komitet zarządu kolei Nadwiślańskich postanowił znieść pobierane przez niektórych urzędników kolejowych t. zw. dodatki osobiste do pensyj. Nie będą one zwłaszcza wypłacane w tych razach, jeżeli dana osoba nie posiada dyplomu naukowego, lecz wskutek długoletniej służby zajęła wyższe stanowisko, co już samo przez się uważane być ma za nagrodę.

— D. 19 z. m. otworzono urzędownie ruch nowej linii kolejowej z Kowla do Kijowa.

— Na konferencyi kolejowej w Paryżu, zajmującej się rozkładami jazdy pociągów pośpiesznych w Europie, uchwalono zaprowadzić od r. 1903 trzy razy w tygodniu bezpośrednią komunikacyę kolejową między Wiedniem a Pekinem za pośrednictwem drogi żel. Syberyjskiej.

— Kowieński okręg komunikacyjny przeniesiony będzie do Wilna, skutkiem czego zmieni nazwę na „wileński okręg dróg komunikacyi."

— D. 14 b. m. otworzony będzie ruch pociągów osobowych i towarowych na kolei Kaliskiej.

Katastrofy. D. 23 b. m. w Rzymie dało się uczuć trzęsienie ziemi.

— W Kamieniołamach pod La Ricamarie, we Francyi, kilkunastu robotników zostało zasypanych ziemią. Zdołano odkopać zaledwie kilku, lecz i ci ponieśli śmiertelne obrażenia.

— D. 24 z. m. trzęsienie ziemi nawiedziło kilka miejscowości Portugalii.

— W Nowym-Yorku, na Broodway, runął dom, kilkanaście osób zostało zabitych.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Октября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.